

Litewski wianek

Powyższy tytuł może nie do końca wyjaśnia o co chodzi ale tak właśnie nazwaliśmy nasz tegoroczny wyjazd na Litwę. Od kilku już lat Komisja Krajoznawcza ZG PTTK proponuje wyjazdy na Centralne Złoty Krajoznawcze na Kresy. Zrealizowaliśmy już wyjazdy na Ukrainę i Białoruś. Wygląda na to, że ta forma poznawania ziem naszych przodków przypadła do gustu jej uczestnikom i, może właśnie dlatego, ponownie znalazła się grupa osób chcących wyruszyć z nami, tym razem na Litwę. Wynika to oczywiście nie tylko z faktu organizacji ciekawej wycieczki. Wielu z uczestników zgłosiło swój udział chcąc niejako podążać śladami swoich bliskich, najczęściej rodziców, którzy tu mieszkali. Niektórzy z uczestników urodzili się właśnie tutaj. Wyjazdy takie mają także na celu odwiedzenie miejsc związanych z wybitnymi Polakami oraz spotkań z tymi, którzy mimo zmiany granic pozostali tam, często doświadczając upokorzeń, a mimo to wciąż pokazują, że są Polakami. Nie wstydzą się tego, wiedząc, że często spotkają ich za to jakieś nieprzyjemności. Warto zatem spotykać się z nimi by pokazać, iż wspieramy, zarówno ich działania ale przede wszystkim, że szanujemy ich jako zwykłych ludzi, jako patriotów. Co by tu jednak nie mówić to my także wynosimy coś z takich spotkań. Bo po tak krótkim pobycie uświadomiamy sobie, że aby uczyć się umiłowania kraju, miłości do naszej Ojczyzny, najlepiej właśnie jest wyjechać na Kresy. To mieszkający tam do dnia dzisiejszego nasi rodacy pokażą nam czym jest umiłowanie kraju ojczystego.

Wracając jednak do początku. W roku 2015 Komisja Krajoznawcza zleciła zorganizowanie CZAK-u Oddziałowi PTTK „Mazowsze” w Warszawie, a konkretnie jego prezesowi Mieczysławowi Żochowskiemu, który dobrał sobie odpowiedni zespół współpracowników prowadzony przez Halinę Sugier. Nie bez znaczenia przy wyborze bezpośredniego organizatora wyprawy był fakt realizacji podobnych wycieczek przez to właśnie biuro PTTK. Aby jednak była jasność CZAK to nie wycieczka, przynajmniej nie w takim znaczeniu do jakiego jesteśmy przyzwyczajeni. I właśnie dlatego nie wszyscy są gotowi podjąć takie wyzwanie, a i nie wszyscy, jeśli już się wybiorą na taki wyjazd, są zadowoleni z jego efektów. Chociaż trzeba powiedzieć, że pod względem poznawczym jest to impreza przeładowana do granic możliwości. Dlatego też jest wyczerpująca i często męcząca. Jest jednak bardzo ciekawa, dająca poznać takie szczegóły do jakich normalnie sami byśmy nie dotarli. Jest to po prostu wycieczka krajoznawcza. Podstawowymi założeniami wyjazdu na Litwę była podróż śladami wybitnych Polaków: marszałka Józefa Piłsudskiego, Adama Mickiewicza, Czesława Miłosza, a także rodzin: Radziwiłłów, Tyszkiewiczów, Ogińskich. Niejako przy okazji zwiedziliśmy obiekty i miejscowości związane z innymi zacnymi rodami czy wybitnymi jednostkami.

Naszą podróż rozpoczynamy w Warszawie 28 czerwca 2015 r. Jest to najlepszy punkt na zbiórkę osób rozsianych po całym kraju. Ponieważ pogoda ostatnio jest łaskawa, nie cierpimy na razie ani z powodu upałów ani z innych przyczyn. Kilku godzinny przejazd w stronę granicy wypełniają nam informacje na temat mijanych miejscowości czy obiektów. Swoją wiedzę dzielą się z nami prowadzący wycieczkę, wspomniani już Mieczysław Żochowski i Halina Sugier. Słuchamy opowieści o Markach a właściwie o Pustelniku gdzie w szpitalu psychiatrycznym przebywał niejaki Mikołaj Konstancy Čiurlionis. Na razie nie wiemy jeszcze, że to właśnie w tym momencie rozpoczęła się nasza przygoda z historią. Każdy puszcza „gadanię” przewodnika mimo uszu. Wszak wielu z nas dawno się nie widziało. Trzeba pogadać sobie. Jednak wiadomość o Mikołaju jakoś utkwiała nam w głowie. Okazała się ona bardzo ważna. Bo Mikołaj Čiurlionis to przecież najwybitniejszy litewski kompozytor i malarz przełomu XIX/XX wieku, który pobierał nauki u księcia M. Ogińskiego w Pługianach. Później dzięki finansowemu wsparciu księcia studiował w Instytucie Muzycznym w Warszawie. Studiował także w

Lipsku a dopełnieniem jego edukacji było ukończenie Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie. Później wyjechał do Wilna, a następnie do Petersburga. Ustatkował się, założył rodzinę i gdy wydawało się, że wszystko jest na jak najlepszej drodze ujawniła się choroba umysłowa. Pragnąc normalności udał się na leczenie do podwarszawskich Pustelnik, gdzie znajdował się dosyć dobry szpital-sanatorium „Czerwony Dwór”. Kuracja ta przyniosła dobre rezultaty i gdy wydawało się, że może spokojnie wracać do domu, podczas spaceru przeziębził się i po kilku dniach zmarł na zapalenie płuc. Mikołaj pozostawił po sobie wiele utworów muzycznych oraz ponad 300 rysunków i obrazów. Jego zwłoki przewieziono do Wilna gdzie złożono je na cmentarzu na Rossie, na tzw. górcie literackiej.



Giby – miejsce upamiętnienia tych, którzy oddali życie za Ojczyznę. Foto: Krzysztof Tęcza

Ponieważ losy Polaków często są tragiczne, w naszej historii nie brakuje ofiar, zwłaszcza podczas rozbiorów Polski, kiedy to co rusz podrywano się do boju by wyzwolić ukochaną Ojczyznę. Nie brakuje także miejsc, w których pochowano tych, którzy oddali to co mieli najcenniejsze – swoje życie. Dotyczy to także okresu ostatniej wielkiej wojny, kiedy to musieliśmy bronić się przed najeźdźcami idącymi z obu stron ale także czasów późniejszych, zarówno końca wojny jak i tworzenia nowego ludowego państwa. Były to czasy równie tragiczne dla miłujących swój kraj, jak i tamte odległe. I tu, i tam życie tracili najwierniejsi synowie i córki narodu. Dlatego nie można w trakcie wycieczki takiej jak ta przejechać koło takich miejsc bez chwili zamyślenia. Właśnie mijamy miejscowość Giby, w której widzimy niewielką górkę z wielkim drewnianym krzyżem na jej szczycie. Całe zbocze pokryte jest dużymi głazami ustawionymi tak, iż patrząc na nie z boku wydaje się, że próbują one „iść” pod górę, w stronę krzyża. Miejsce to upamiętnia ponad 600 ofiar tzw. obławy lipcowej (augustowskiej) mającej miejsce w 1945 roku. Wtedy to właśnie specjalne oddziały NKWD dokonały aresztowań wśród miejscowej ludności. Niektórzy z aresztowanych, po przesłuchaniu wrócili do domów. Niestety los ponad 600 z nich jest nieznanym do dnia dzisiejszego. Nikt nie wie co się z nimi stało. Po prostu rozpułnili się w powietrzu. Autorem instalacji upamiętniającej zaginionych jest Andrzej Strumiłło. Umieszczono tu kilka tablic kamiennych z nazwiskami zaginionych. Pomnik ten poświęcono nie tylko ofiarom tej jednej zbrodni. Poświęcono go pamięci wszystkich, którzy życie, krew i cierpienie złożyli w ofierze Ojczyźnie. Dotyczy to zarówno poległych w powstaniu

listopadowym 1830 czy styczniowym 1863, jak i podczas odradzania naszego państwa w latach 1918-1921, po okresie niewoli. Dotyczy to także obrońców Ojczyzny w okresie II wojny światowej oraz więźniom zamordowanym w obozach koncentracyjnych i łagrach a także pomordowanym w okresie powojennym. Jak zaznaczono na tablicy wszyscy oni zginęli bo byli Polakami.

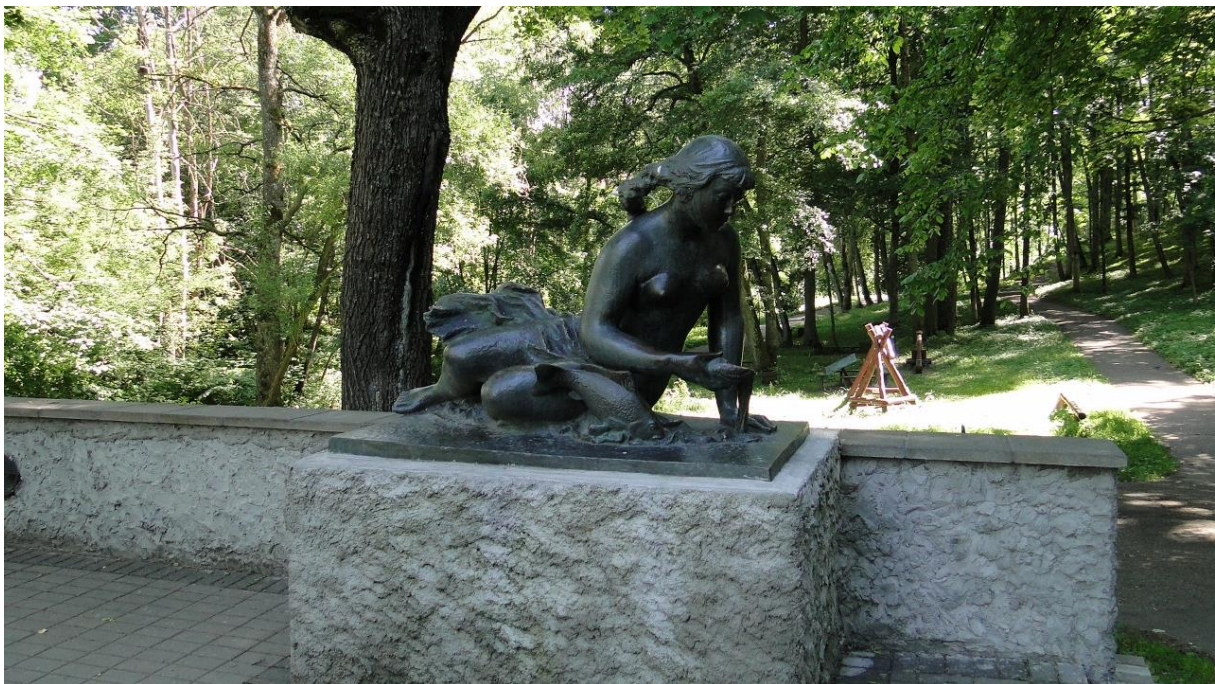
I w takim oto nastroju wjeżdżamy na teren obecnej Litwy. Jest to dzisiaj państwo będące członkiem Unii Europejskiej, zatem nawet nie zauważamy granicy. Nie ma żadnej kontroli czy stania w kolejce. W zasadzie nawet krajobraz specjalnie się nie zmienił. Wcale nie odczuwamy, że jesteśmy nie u siebie. A przecież to właśnie gdy ważyły się losy granic nowej niepodległej Polski to właśnie o te tereny toczyły się ciężkie boje, zarówno polityczne jak i wojskowe. Nie będę drążył tego tematu gdyż nie jestem w nim aż tak mocny. Na szczęście Mietek to prawdziwa chodząca encyklopedia. Przypomniat on nam nie tylko podstawowe fakty z tamtych czasów ale także wyjaśnił dlaczego właśnie niektóre z ówczesnych posunięć Piłsudskiego były ważne, a które były bardzo ważne. Dzisiaj wiemy, że bez niektórych ruchów nie byłoby wówczas Polski o takich granicach. Było to wszak bardzo ważne, mieszkało tam wielu Polaków, i nie można było pozostawić ich samym sobie. Trzeba było zapobiec temu co mogłoby się z nimi stać pod innymi rządami. A co się mogło stać widać dobitnie dzisiaj, kiedy tereny te nie są już w granicach Rzeczypospolitej.



Pomnik Emilii Plater w Kopciowie. Foto: Krzysztof Tęcza

Pierwszym miejscem, w którym upamiętniono tragiczne dzieje narodu polskiego na tych terenach, jest miejscowość Kopciowo. To tutaj na rynku stoi pomnik Emilii Plater, kobiety, która w męskim przebraniu ruszyła walczyć za Ojczyznę. Nie będę oczywiście rozwijał tego wątku, gdyż dzisiaj część z informacji o jej wyczynach poddawana jest w wątpliwość. Nie to jednak jest ważne. W powstaniu uczestniczyło wiele kobiet. Emilią zachwycił się Adam Mickiewicz, który napisał poemat pod wymowną nazwą „Śmierć pułkownika”. Jakby nie patrzeć na dokonania Emilii Plater poemat zrobił swoje, a przecież o to chodziło. Sama Emilia, zeszła z tego świata we wsi Justianowo, z której to przewieziono jej zwłoki do Kopciowa gdzie została pochowana. Grób jej zachował się na zabytkowym cmentarzu, odnowionym niedawno ze środków Unii Europejskiej.

Co prawda, jak na razie nie mieliśmy jeszcze okazji się zmęczyć, ale na wiadomość, że jedziemy do miejscowości uzdrowskiej, wyraźnie się ożywił. Zawsze warto odwiedzać takie miejsca, może znajdziemy tam coś dla siebie. Przejeżdżamy mostem nad Niemnem i już jesteśmy w Druskiennikach. Jest to największe i najnowocześniejsze uzdrowisko na Litwie. Co ważniejsze przeglądając oferowane tu pobyty wraz z zabiegami stwierdzimy, że nie są one wcale takie drogie. Warto zatem korzystać. A do tego rewelacja, wybudowano tu całoroczny kryty tor narciarski o długości prawie pół kilometra. Można zatem nawet w upalne lato pojeździć sobie na nartach.



Pomnik dziewczyny w Druskiennikach. Foto: Krzysztof Tęcza

Druskienniki zostały uznane za miejscowość leczniczą dekretem Stanisława Augusta Poniatowskiego już w roku 1794 ale tak naprawdę uzdrowiskiem stały się wtedy gdy w roku 1835 prof. Uniwersytetu Wileńskiego I. Fonberg opublikował wyniki badań nad składem chemicznym wody mineralnej z tutejszych źródeł. Sama nazwa miasta pochodzi właśnie od źródeł słonej wody, sól po litewsku to druska. Tak naprawdę Druskienniki urzekają nas mieszanką architektoniczną. Co chwilę mieszają się stare drewniane obiekty z tymi zbudowanymi ze stali i szkła. Na początek niespodzianka, widzimy pomnik Mikołaja Čiurlionisa, o którym wspominałem już wcześniej. Oprócz niego przebywały tu inne znane osoby. Bywał tu oczywiście marszałek Józef Piłsudski, który przechadzając się, bardzo chętnie przesiadywał nad wysokim brzegiem Niemna by cieszyć oczy pięknym widokiem. Bywali tu także Eliza Orzeszkowa i Jan Czeczot.

My podczas spaceru docieramy do ciekawego pomnika przedstawiającego ładną dziewczynę, taką syrenkę. Rzeźba jest tak piękna, że nie dziwi, iż niektórzy robiący sobie pamiątkowe zdjęcie nie mogą się oprzeć i gładzą wypukłości rozebranej dziewczyny. Czynią tak nawet panie. No cóż, może wpływ na takie zachowanie ma przerezuony obok most miłości z tradycyjnymi już zapiętymi kłódeczkami. My podążamy szlakiem od pomnika Zygmunta Augusta do pomnika Witolda Wielkiego. Pośrodku wstępujemy do pijalni wody mineralnej by przekonać się, że jej smak wcale nie odbiega od podobnych w naszych uzdrowiskach. Tak samo jest okropny!

Jedziemy dalej, po chwili docieramy do miejscowości Jaszuny. Ponoć to tutaj Juliusz Słowacki zabiegał o względy panny Śniadeckiej. Niestety został odrzucony. Ponieważ na pamiątkę swojego pobytu posadził tu brzozę, polankę na której tego dokonał nazwano jego imieniem. Miejscowość ta należąca początkowo do Radziwiłłów została przejęta przez rodzinę Balińskich. To właśnie wtedy powstał ten pałac otoczony ponad dwudziestohektarowym parkiem. Jego architektem był prof. Karol Podczaszyński. Obecnie obiekt ten jest w trakcie remontu. Ukończono już I etap prac i przystąpiono do kolejnego. A to wszystko dzięki wsparciu finansowemu Unii Europejskiej. Przy drodze rosną tu piękne okazy wierzby o średnicy prawie dwóch metrów. Dlatego, urzeczeni ich pięknem udaliśmy się na krótki spacer na cmentarz rodziny Balińskich. Jest on co prawda nieduży ale otoczony wysokim kamiennym murem, ze względu na stan utrzymania, bardzo ciekawy dla oka. Założony w 1830 roku jest miejscem spoczynku Jana Śniadeckiego (rektora Uniwersytetu Wileńskiego), Michała Balińskiego (historyka), Jana Balińskiego (prof. Petersburskiej Wojskowej Akademii Medycznej) oraz ich rodzin. Co ciekawe, środki na renowację tego obiektu przekazał Senat RP, Związek Polaków na Litwie oraz mieszkańcy Jaszyn. Nie ma się jednak co dziwić, wszak prawie każdy, z którym rozmawialiśmy mówi po polsku.



Foto: Krzysztof Tęcza

Gdy pod wieczór dotarliśmy wreszcie do Wilna było jeszcze na tyle widno, że od razu zdecydowaliśmy się wyruszyć na spacer. Przecież większość z nas była tutaj po raz pierwszy. Zostawiliśmy rzeczy w City Hotels, znajdującym się naprzeciwko placu, na którym ustawiono wielkie jajko-pisankę. Nie będziemy mieli kłopotu by znaleźć to miejsce. Poznajemy pierwsze zabytki: ratusz, kościół św. Kazimierza, ulicę

Niemiecką ale tak naprawdę zaintrygowała nas umieszczona w parku rzeźba zwana przez miejscowych „Doktor Ojbolni”. Jest to przedstawienie znanego wileńskiego lekarza Cemacha Szabada, który często pomagał bezinteresownie. Nie było w jego zwyczaju uchylać się od wezwania do chorego. Co ciekawe stawiał bardzo trafne diagnozy i nawet dzisiaj można zobaczyć jak niektórzy przechodnie podchodzą do niego i coś mu szepczą do ucha. Ponoć to działa i czasami przynosi ulgę w cierpieniu. Pomnik tego znanego lekarza (radnego, senatora) wykonał Romuald Kvintas w roku 2007.

Prawdziwym jednak zaskoczeniem dla nas był widok na Wzgórzu Trzech Krzyży, które wyłoniły się pomiędzy budynkami. Ze względu na to, iż zrobiło się już ciemno podświetlony kolorowym światłem pomnik wyraźnie odcinał się od ciemnego horyzontu. Miejsce to upamiętnia męczeńską śmierć franciszkanów, którzy chrystianizowali Litwę.

Ponieważ nasze wieczorne wyjście na miasto miało być przede wszystkim spacerem nie zwiedzaliśmy mijanych zabytków, jedynie słuchaliśmy podstawowych o nich informacji przekazywanych nam przez Halinę. Ale, taka to już dola krajoznawcy, że zawsze wypatrzy on coś ciekawego. Nam w oko od razu wpadł usytuowany po drugiej stronie ulicy dom Radziwiłłów, który został bardzo sprytnie nadbudowany. Dostawione piętra zostały sporo cofnięte w stosunku do starej części domu przez co nie zatraciła ona swojego zabytkowego charakteru a dobudowana część wygląda tak jakby wyrastała za wspomnianym budynkiem. Widać, że architekt dobrze przemyślał to co zaproponował.

Robiło się coraz ciekawiej, w końcu jednak trzeba wracać, tak by wstać z samego ranka. Zatrzymała nas jednak ciekawa scenka przed pałacem prezydenckim. Otóż małżeństwo spacerujące z dziećmi podszło pod pałac i wypuściło pęk balonów do tej pory przywiązanych do wózeczka. Następnie, wraz z naszą grupą długo patrzyło jak balony wznoszą się do góry, aż w końcu znikły w czerni nieba. Zamyśleni, podchodzimy do remontowanego budynku. Jak się okazało to dawny Pałac Paców, kupiony przez rząd polski na nową siedzibę naszej ambasady. Ucieszyło nas to, że wreszcie nie będzie trzeba załatwiać naszych spraw gdzieś daleko, gdzie teraz jest nasz urząd. Nie wiem czy z tego samego tytułu cieszył się tańczący Żyd, którego rzeźba została umieszczona na cokole nieopodal. W każdym razie cień przez niego rzucany na elewację pobliskiego budynku wyglądał, i zabawnie, i złowieszczo zarazem. Mieliśmy tego dosyć i szybko, mijając drewniane rzeźby, dotarliśmy do wielkiego jaja, przy którym mieścił się nasz hotel.

Nastał ranek, mamy 29 dzień czerwca 2015 r. Pogoda zapowiada się ciekawie ale najważniejsze, że mogliśmy skosztować na śniadanie nowych ciekawych smaków. Nie były to oczywiście specjały kuchni litewskiej ale zawsze coś innego. Ruszamy zatem w dobrych humorach na zwiedzanie Wilna. Tym razem będzie nas oprowadzał jeden z najlepszych przewodników, jeśli nie najlepszy, w mieście. Jest nim autor wielu przewodników, na co dzień pracujący na uczelni, Józef Szostakowski. Początkowo kol. Józef pozwolił sobie na wykład z historii miasta i w ogóle Litwy. Bardzo nam to pomogło poustawić późniejsze informacje w jakiejś sensownej kolejności. Oczywiście dowiedzieliśmy się także kilku bardzo istotnych choć niechętnie zdradzanych faktów. Okazuje się, że Litwa i Białoruś mają ten sam herb. To co je jednak różni to taki niewielki drobiazg. Otóż ukazany koń białoruski ma nieco wyżej uniesiony ogon. Pytanie brzmi: co to oznacza? Niestety, musimy sami sobie na nie odpowiedzieć.



Obraz Matki Boskiej Ostrobramskiej. Foto: Krzysztof Tęcza

Nas jednak czekała teraz wizyta w najważniejszym miejscu Wilna. Podeszliśmy do Ostrej Bramy. Tak szczerze to widok jaki zobaczyliśmy nie zachwyił nas wcale. Ot kawałek starego muru. Co prawda Józef dokładnie wyjaśnił nam jak dawniej zamykano to wejście do Wilna, zachowały się jeszcze otwory, którymi była opuszczana metalowa krata. Nie mniej nie zauważyliśmy nic poza tym. A przecież nie o to nam chodziło. Okazuje się jednak, że święty obraz, wiszący dawniej nad wejściem, został przeniesiony do zbudowanej wewnątrz kaplicy, najpierw drewnianej, później murowanej. Miejsce to jest najczęściej odwiedzanym przez przybywających tu Polaków. Ma to jednak wymiar nie tylko religijny ale także wspominkowy. Wielu z przyjeżdżających to osoby urodzone w Wilnie lub okolicy – wspominają oni zatem swoje dzieciństwo. Moja rodzina akurat pochodzi z innych terenów ale to właśnie tutaj mieszkała mama żony. Pamiętam jak wiele razy opowiadała o swoim życiu, o tym co ją tu spotkało. Nie zawsze wspomnienia te były wesołe. Opowiadała np. jak byli w tamtych czasach żegnani przez Litwinów po wyjściu z kościoła. Często musiała przejść tzw. ścieżkę zdrowia. Była to reakcja Litwinów na zaśpiewaną przez Polaków na koniec mszy pieśń „Boże coś Polskę...”. Niestety w tamtych czasach Polacy i Litwini nie przepadali za sobą. Dzisiaj oba nasze kraje są członkami Unii Europejskiej. Widać jednak, że do całkowitej zgody jeszcze trochę nam brakuje.

Wracając jednak do Ostrej Bramy to umieszczony tutaj święty obraz przedstawia Matkę Bożą ale bez Dzieciątka Jezus. Oczywiście obraz został zaopatrzony w złotą sukienkę okrywającą Maryję oraz w dwie korony. Ponieważ obraz ten słynie z cudów w kaplicy znajduje się wiele tysięcy wotów. Większość z nich złożono w skarbcu, tylko niewielka ich ilość zajmuje wszystkie ściany kaplicy. Jest ich jednak tak dużo, że robi to niesamowite wrażenie. Przecież za każdym z darów kryje się jakaś zakończona tragedia. Aby moje słowa nie były puste przytoczę, za naszym przewodnikiem, pewne zdarzenie. Otóż mama Adama Mickiewicza, kiedy ten był jeszcze maleńki, tak jak inne niewiasty, położyła go owiniętego w kocyk na parapecie okna. Ten niespokojny spadek uderzając o twardą podłogę tak mocno, że przestał oddychać. Gdy nic nie skutkowało, pozostały tylko modły, i o dziwo, Adaś nagle złapał oddech. Gdy skończył 17 lat przyjechał do Wilna, gdzie miał rozpocząć studia. Na

prośbę swojej matki przybył pod obraz by podziękować za cudowne ocalenie. Może to było powodem obecności świętego obrazu w jego późniejszej twórczości.



Józef Szostakowski wraz z naszą grupą pod kaplicą w Ostrej Bramie. Foto: Krzysztof Tęcza

Oprowadzający nas Józef Szostakowski, znający doskonale twórczość wieszczka, zaczął recytować *Pana Tadeusza* a my wtórowaliśmy mu nieśmiało.

„... Panno Święta, co jasnej bronisz Częstochowy
I w Ostrej świecisz Bramie! Ty, co gród zamkowy
Nowogródzki ochraniasz z jego wiernym ludem!
Jak mnie dziecko do zdrowia powróciłaś cudem
(Gdy od płaczącej matki pod Twoją opiekę
Ofiarowany, martwą podniosłem powiekę
I zaraz mogłem pieszo do Twych świątyń progu
Iść za wrócone życie podziękować Bogu)...”.

Po takim występie nie moglibyśmy oglądać nic normalnego więc udaliśmy się do kościoła Św. Teresy, w którym to wykonano specjalną skrytkę, do której złożono umieszczone w kryształowej trumience serce Józefa Piłsudskiego. To właśnie tutaj przywiezione zostały zwłoki jego matki a następnie razem z sercem marszałka pochowano je w obecnym miejscu pochówku, na Rossie.

Kilkaset metrów dalej znajduje się przejście zwane Bramą Adama Mickiewicza. To właśnie przez nią prowadzono Adama po aresztowaniu. Klasztor Bazylianów, do którego prowadzi owa brama służył wówczas jako więzienie. Oczywiście miejsce to upamiętnia także innych znanych Polaków. Jednym z nich jest Ignacy Domeyko, późniejszy bohater narodowy Chile. Odwiedzających to miejsce przyciąga fakt więzienia tutaj członków tajnego Towarzystwa Filomatów, wśród nich wspomnianego Adama Mickiewicza. Tak się złożyło, że poeta zainspirowany tym miejscem, umiejscowił tu scenę przemiany bohatera *Dziadów*. Dzisiaj wiemy już, że nie jest to dokładnie to samo miejsce (właściwa cela została połączona z inną w większą salę) ale cóż to znaczy dla pobudzonej wyobraźni turystów. Wystarczy

przecież popatrzeć na ustawioną kolejkę chcących zajrzeć do celi przez judasza. Tylu chętnych „do celi” jeszcze nie widziałem.



"Chętni do celi Konrada". Foto: Krzysztof Tęcza

Sama świątynia usytuowana w tym kompleksie to praktycznie gołe mury czekające na remont. Ale jak ma wyglądać obiekt używany jako pole doświadczalne przy badaniu wytrzymałości materiałów budowlanych? Oczywiście w dniu dzisiejszym widać już tu początki przywracania dawnej świetności. Potrwa to jednak jeszcze długie lata.

Idąc dalej mijamy piękny budynek Filharmonii, przy którym ze względu na istniejącą w tym miejscu bramę pieską, widzimy ciekawe przejście zwane oczywiście psim. Nazwa ta pochodzi z czasów kiedy pomocnicy mieszkającego tu kata trudnili się wyłapywaniem bezpańskich psów. Tuż za tym obiektem znajduje się ładna, choć niewyróżniająca się specjalnie w tym otoczeniu, kamienica będącą w przeszłości własnością rodziny Maryli Rodowicz. Ciekawostką jest tutaj zniknięcie przedstawienia pięknego białego łabędzia, który stał na wystawie jako ozdoba. Ponoć wart był majątek.

Bardzo ciekawym okazał się kościół św. Kazimierza i to może nie z tytułu jego architektury ale z faktu, iż miało tutaj miejsce niezwykle wydarzenie. Otóż gdy pod stojący nieopodal ratusz podjechały kibitki i zaczęto pakować na nie więźniów przeznaczonych do wywózki, modlący się ludzie zaczęli wychodzić ostrożnie na dwór. Najpierw były to pojedyncze osoby, później po kilka, aż w końcu w kościele pozostał sam ksiądz odprawiający mszę. Świątynia ta wielokrotnie była przejmowana przez władze cywilne. Francuzi urządzili tu najpierw magazyn zboża, później przetrzymywali jeńców rosyjskich. W okresie radzieckim w miejscu ołtarza ustawiono wielki pomnik Lenina. Jak się okazuje sugestia ta nie przyniosła spodziewanych rezultatów i Włodzimierz Ilicz nie jest nawet błogosławionym.

Miejsce, w którym stoi ratusz wiąże się z widzianą już przez nas psią bramą. Otóż gdy złapano kiedyś złodzieja to przywiązywano go do stojącego przed ratuszem drewnianego pręgierza. Słup ten, ze względu na przedstawienie niezbyt ładnej twarzy nazywany był babą. To właśnie tutaj trafiał każdy,

kto przeszedł proces sądowniczy, włącznie z pobytem w psiej bramie gdzie kat odpowiednio go przepętał. Delikwenta po takich przejściach uważano za tego, który pocałował babę.



Na schodach kościoła św. Kazimierza. Foto: Krzysztof Tęcza

Wracając jednak do śladów po Adamie Mickiewiczu to na pobliskim budynku znajduje się tablica upamiętniająca fakt zamieszkania wieszczka, który jadąc na zesłanie na zawsze pożegnał Wilno. Niedaleko stąd jest budynek, w którym Józef Zawadzki założył drukarnię a później otworzył księgarnię. To właśnie w tej drukarni po raz pierwszy ukazały się drukiem poezje Adama Mickiewicza *Ballady i romanse*.



Dziedziniec Uniwersytetu Wileńskiego. Foto: Krzysztof Tęcza

Ale oto przed nami kompleks Uniwersytetu Wileńskiego im. Stefana Batorego, powstały na bazie Kolegium Jezuitów. Jest to zespół złożony z kilkunastu budynków, tyłuż dziedzińców, kościoła i dzwonnicy. Wszystko w jednym miejscu. To niezwykle praktyczne. Ciekawostką jest tutaj pewne pomieszczenie w podziemiach kościoła św. św. Janów, w którym zamykano leniwych i niegrzecznych studentów. Nawet na tydzień. Efekt wychowawczy zawsze był taki sam. Okazanie skruchy i wykazanie większej ochoty do nauki. Może w dzisiejszych czasach taka metoda byłaby godna polecenia.

W kościele tym grał na organach sam Stanisław Moniuszko. Jest to także miejsce uchodzące za *Panteon sławy narodowej*. Ponieważ nie wolno było przedstawiać i wspominać polskich bohaterów wymyślono, że niechciane przez władze pomniki będą stawiane w kościele, właśnie w tym kościele. Ustawiono tu wiele popiersi, w tym oczywiście Adama Mickiewicza. Uczyniono to z okazji stulecia jego urodzin. Pod pretekstem remontu tej części świątyni odgrodzono ją nieprzeźroczystą kotarą i spokojnie dokończono dzieła. Gdy dokończono prace i rozebrano rusztowania władze ukarały ówczesnego księdza karą 1000 rubli. Była to suma tak wielka, że oczywiście kapłan nie był w stanie jej zapłacić. Wtedy wierni złożyli się na ową karę i urzędnik, który przyjechał ją odebrać miał poważne trudności z jej przetransportowaniem. Trudno bowiem zabrać tysiąc rubli w najdrobniejszych monetach.

Zobaczymy tu także pomniki poświęcone Antoniemu Edwardowi Odyńcowi, Tadeuszowi Kościuszce, Władysławowi Syrokomli (Ludwik Kondratowicz) zwanemu lirnikiem wioskowym. Właśnie Syrokomla wraz z Moniuszką tworzyli duet i m.in. pozostawili nam *Litanię Ostrobramską*.

Trzymając się jednak miejsc związanych z naszym wieszczem docieramy do Muzeum Adama Mickiewicza. Co prawda jest ono w dniu dzisiejszym nieczynne ale możemy wejść na dziedzińiec i na własną rękę pobuszować trochę w licznych zakamarkach. Dostrzegamy tutaj pewną nieściśłość w napisie umieszczonym na tablicy pamiątkowej. Otóż nie zgadza się data zamieszkania tu Adama. Wpisano bowiem rok 1822 a powinien być 1823. Zgadza się za to co innego. Otóż Adam Mickiewicz w domu tym „wykańczył” *Grażynę*. I wykończył ją.

Aby odetchnąć od Mickiewicza idziemy w stronę kościoła św. Anny zbudowanego z 33 form czerwonej cegły profilowanej. Coś niesamowitego. Obok znajduje się pomnik przedstawiający, a jakże, Adama Mickiewicza. Jest to dzieło wykonane przez Gediminasą Jokūbonisą. Pomnik przedstawia Adama Mickiewicza opierającego się na złamanej kolumnie. Kilka lat temu ułożono przy nim granitowe płyty z niedokończonego przed wojną pomnika autorstwa Henryka Kuny. Przedstawiają one sceny z *Dziadów*, m.in. Celę Konrada.

Jesteśmy nad brzegiem Wilejki dopływem Wilii. To tutaj stoi niezbyt ciekawy budynek, w którym mieszkał Konstanty Ildefons Gałczyński. Na pewno widok tak urokliwej dolinki pozwalał mu wypocząć po dniu spędzonym w radio, gdzie pracowali także Wiktor Hulewicz i Czesław Miłosz. Piękno tej rzeczki opiewane jest nawet w piosence napisanej dawno temu:

„... Wilija naszych strumieni rodzica,
Dno ma złociste i niebieskie lica;
Piękna Litwinka, co jej czerpa wody,
Czystsze ma serce, śliczniejsze jagody...”.

Pod koniec XVII wieku, na zlecenie hetmana polnego Michała Kazimierza Paca, został wzniesiony kościół św. Piotra i Pawła. Jest to jedna z ładniejszych świątyń. Wewnątrz oprócz wielu rzeźb i ozdób naszą uwagę przykuje zawieszona pod sufitem Łódź Piotrowa wykonana z tysięcy kryształów. Dzisiaj akurat trafiliśmy na mszę i nie bardzo mogliśmy podziwiać te wspaniałości. Wykorzystaliśmy jednak krótką chwilę kiedy to wierni wyszli na zewnątrz by przejść wokół kościoła z procesją. Okazuje się bowiem, że tego typu manifestacje nie zawsze są dopuszczane na ulice miasta. Z konieczności muszą one czasami odbyć się na terenie kościelnym.



Łódź Piotrowa w kościele św. Piotra i Pawła w Wilnie. Foto: Krzysztof Tęcza

Pogoda jest piękna, nie ma zatem powodu by dłużej zwlekać z wizytą na Rossie. To tam założono niewielki cmentarzyk wojskowy, na którym w 1936 r. pochowano serce Józefa Piłsudskiego. Umieszczono je w grobie matki marszałka. Na kilkunastotonowej płycie wryto następujące słowa:
Ty wiesz, że dumni nieszczęściem nie mogą za innych śladem iść tą samą drogą.

Matka i serce syna.

Kto mogąc wybrać, wybrał zamiast domu gniazdo na skałach orła; Niechaj umie spać, gdy źrenice czerwone od gromu i słycać jęk szatanów w sosen szumie. Tak żyłem.

Oczywiście na Rossie pochowanych jest wielu innych znanych ludzi. My wypatryliśmy groby m.in.: Józefa Montwiłła, Joachima Lelewela, Pawła Jasienicy, Władysława Syrokomli. Na dokładne jednak poszukiwania potrzeba o wiele więcej czasu niż posiadaliśmy.

Musieliśmy przecież wybrać się na spacer w okolice góry, na której dawno temu zatrzymał się Gedymin wraz ze swoją świtą, po udanym polowaniu. To właśnie owej nocy przyśnił mu się wilk. Zapytany o znaczenie snu kapłan roztoczył tak piękne wizje przez księciem, że ten nakazał zbudowanie na górze zamku. Z czasem przeniósł tu stolicę z Trok i w ten właśnie sposób postać wilka ubranego w pancerz trafiła do symboliki litewskiej. Dzisiaj po zamku pozostała jedynie jedna z wież, za to zbudowana z czerwonej cegły. Daje ona wyobrażenie jak trudny był to do zdobycia obiekt. Oczywiście kto nie chce się tu wspinać pod stromą górę może przejść na drugą stronę i skorzystać z wyciągu.



Nekropolia na Rosie – przy grobie „Matki i serca syna”. Foto: Krzysztof Tęcza

Mając dosyć zwiedzania Wilna ruszyliśmy za miasto. Trzeba przecież poznać także inne miejsca na Litwie. Na początek jednak pojechaliśmy do pobliskich Ponar – miejsca tragicznego. To tutaj zamordowano podczas II wojny światowej dziesiątki tysięcy ludzi. Wśród różnych narodowości zgładzonych w tym miejscu byli także Polacy. Upamiętniono ich tragedię wyznaczając specjalną kwaterę. Wśród wielu nazwisk dostrzeżemy nazwisko Bronisława Komorowskiego, stryja naszego prezydenta, który swoje imię otrzymał jako upamiętnienie przodka.

Podążając śladami historii udajemy się do miejscowości Troki, jednej z historycznych stolic Litwy. To właśnie tutaj zostali sprowadzeni Karaimi. Książę Witold pozwolił im zachować swoją kulturę a osadzając ich blisko zamku zapewnił w jakimś stopniu bezpieczeństwo fortecy. Do dnia dzisiejszego zachowała się ulica, na której najczęściej wznosili oni swoje domy. Kiedyś przy budowie domów stosowano zasadę trzech okien. Polegało to na tym, iż w ścianie szczytowej umieszczano trzy okna, jedno dla boga, drugie dla gospodarza, trzecie dla Witolda (później określano je jako okno dla gościa). Najciekawszym a zarazem największym zabytkiem w Trokach jest zamek zbudowany początkowo przez Giedyminą. To wtedy przeniesiono tu stolicę z Kiernowa. Obecna budowla to obiekt wzniesiony z czerwonej cegły i kamienia polnego, swoim wyglądem przypominający zamek krzyżacki. Zresztą ci zdobywali go w przeszłości kilkakrotnie. Zamek ten wywiera tak niesamowite wrażenie, że mimo iż by dostać się do niego trzeba pokonać kawał drogi przez drewniane mosty, nie ma takich, którzy nie podjęliby takiego wysiłku. Zwłaszcza, że będąc już na wyspie możemy podziwiać znajdujący się na drugim brzegu kontrastujący bielą ścian pałac Tyszkiewiczów.

Ponieważ fruwać tutaj tysiące komarów, wszyscy szybko wracają do autokaru. Przewodnicy znaleźli jednak ciekawy sposób na spowolnienie tego niekorzystnego zjawiska. Otóż każą oni wypatrywać w murze dawnych latryn. Są one jednak tak zamaskowane, że widać, po śladach na trawie, iż wielu turystów próbuje podchodzić pod sam mur by zajrzeć czy nie zobaczy w jakimś wyłomie właściwego otworu. Ciekawe czy ktoś już trafił na takowy gdy toaleta była używana?



Zamek w Trokach. Foto: Krzysztof Tęcza

Gdy wreszcie dotarliśmy pod nasz hotelik w Wilnie pozostało nam do przejścia ledwie kilkaset metrów. Niestety odcinek ten okazał się przysłowiową drogą przez mękę. Początkowo, nie wiedząc dlaczego, nie mogliśmy oderwać nóg od chodnika. Czyżbyśmy byli aż tak zmęczeni? Gdy jednak poczuliśmy na twarzy jakieś lepkie klejące się krople, a przecież nie padał deszcz, zaczęliśmy się zastanawiać co to takiego. No i okazało się, że to z rosnących tutaj lip kapie spadzź, która pokryła chodnik tak grubo, że klej w niej zawarty dokładnie trzyma nasze buty!
A więc dobranoc Wilno! Dobrych snów!



Słońce udaje się na spoczynek, Wilno zapada w sen. Foto: Krzysztof Tęcza

Rankiem następnego dnia żegnamy Wilno, już tu nie wrócimy. Dzisiejszy dzień poświęcony będzie odwiedzeniu miejsc związanych z życiem Józefa Piłsudskiego. Zanim jednak to nastąpi docieramy do miejscowości Ciechanowiszki. W jednej z chałup znajduje się tu *Izba palm i Użytku codziennego* prowadzona przez Samorząd Rejonu Wileńskiego. Jest to coś niesamowitego. Możemy zobaczyć tutaj prawdziwe dzieła sztuki wykonane z wierzby czy żyta. W kolejnej miejscowości Suderwie zatrzymujemy się właściwie wyłącznie po to by obejrzeć, ponoć jedyny na Litwie, kościół w kształcie rotundy. Jest to kościół Świętej Trójcy. Dla mnie osobiście ciekawostką w tym miejscu jest zachowana obok kapliczka, którą zaprojektował Jan Borowski. Wyjechał on stąd w 1945 roku i pracował przez jakiś czas na Dolnym Śląsku opisując zabytki Wrocławia. W sąsiednich Duksztach należących dawniej do książąt Giedroyciów, oglądamy kościół św. Anny. Ale tak naprawdę naszym punktem docelowym tej części wycieczki była ścieżka przyrodnicza położona na terenie lasu mającego ponad 300 ha powierzchni. Jest to jedna z najstarszych na Litwie dąbrowa. W celu ochrony tego unikalnego terenu założono tu rezerwat krajobrazu. Wykonano tutaj wygodną drewnianą ścieżkę, wzdłuż której ustawiono ponadnaturalnej wielkości rzeźby przedstawiające stare bóstwa litewskie. Jest ich kilkanaście. W lesie znajduje się także dziwny głaz z tajemniczymi rytami, których znaczenie nie jest wyjaśnione do dnia dzisiejszego. Na pewno, gdy będziemy tu kolejnym razem, warto temu miejscu poświęcić więcej czasu.



Tajemniczy głaz w dąbrowie koło Dukszt. Foto: Krzysztof Tęcza

Aby poznać jeszcze jedno tajemnicze miejsce ruszamy do Kierniowa, pierwszej stolicy Litwy. Zachowały się tutaj wielkie grodziska udostępnione drewnianymi schodkami. Każdemu kto jednak na nie spojrzał, na ich widok, od razu przechodziła ochota na spacer. Dlatego zainteresowaliśmy się bardziej rzeźbą przedstawiającą wilka zabezpieczonego żelazną zbroją czy terenem przy kościele, na którym założono staw w kształcie Litwy. Za zielenią jest tu ukryta miniatura miasta Jeruzalem. Jest ona tak ciekawie wkomponowana, że tylko nieliczni ją dostrzegli.

W Mejszagole doświadczyliśmy czegoś wyjątkowego. Znajduje się tu ciekawy kościółek, w którym ustawiono, chyba najmniejszą ze znanych mi figur przedstawiającą Jana Pawła II. Nie to jednak na nas wywarło owe wrażenie. Otóż w domu, w którym mieszkał ksiądz Józef Obremski, zorganizowano muzeum jemu poświęcone. Zaciekało nas, a cóż jest takiego wyjątkowego w osobie miejscowego prałata, że mieszkańcy wciąż o nim pamiętają. Ksiądz Józef zmarł w 2011 r. a więc wcale nie tak dawno. Żyje zatem wielu ludzi pamiętających go. Okazuje się, że miejscowy duszpasterz umierając w wieku 105! lat, był człowiekiem kochającym parafian do tego stopnia, że przez swoją działalność dla nich cierpiał wiele niesprawiedliwości, ale nie uskarżał się na swoją dolę. Uważał, że to jego obowiązek wobec rodaków. Nic zatem dziwnego, że ci odwdzięczali mu jego ogromną miłość. Rzadko się zdarza taki patriota, człowiek i w końcu duszpasterz. Jego grób jest zawsze zadbane a wielu turystów słuchających historii życia tego człowieka patrzy na jego pomnik i długo nie może uwierzyć w to co słyszy.

Zostawiając przemyślenia na dalszą drogę jedziemy do Piekieliszek, w których znajduje się dworek rodziny Piłsudskich. Wspomniany wcześniej ksiądz Józef Obremski znał osobiście marszałka. W tamtych czasach społeczeństwo potrafiło docenić poświęcenie poszczególnych osób dla Ojczyzny. Dlatego też uchwalono specjalny dekret, dzięki któremu przekazywano im ziemie i gospodarstwa. Takie podziękowanie otrzymywali m.in. legioniści Piłsudskiego. Nie było to źle widziane. Dwór w Piekieliszkach stoi na dużo większym gruncie niż przewidywała to ustawa, jednak w tym wypadku takie nadanie należało się także żonie marszałka. Ustawa nie robiła żadnej różnicy pomiędzy oficerami i żołnierzami. Obecnie stan dworku jest zadawalający jednak osoby dbające o ten obiekt mają żal do strony polskiej o zbyt słabe zainteresowanie tym miejscem.



Centrum Europy w miejscowości Bernaty koło Wilna. Foto: Krzysztof Tęcza

A teraz niespodzianka, nie wiem czy nie przykra. Otóż kiedyś twierdzono, że centrum Europy leży na terenie obecnej Polski. Dzisiaj to się zmieniło. W 1993 roku grupa francuskich naukowców ustaliła, iż prawdziwe centrum Europy leży w miejscowości Bernaty koło Wilna. Ustawiono tu sporych

rozmiarów głaz ze stosownym napisem a turyści tu przybywający mogą w Centrum Informacji otrzymać specjalny certyfikat potwierdzający nasz pobyt w samym środku kontynentu (za darmo). Ponieważ miejsce to cieszy się dużą popularnością urządzono tu korty tenisowe. Można zatem korzystać do woli z ruchu na świeżym powietrzu. Można także przenocować tu czy zjeść coś smacznego.



Miejsce urodzin Józefa Piłsudskiego. Foto: Krzysztof Tęcza

My ponownie wracamy na szlak związany z Józefem Piłsudskim. Najpierw docieramy do miejscowości Powiewiórka, gdzie w miejscowym kościele został on ochrzczony, a następnie do Zułowa, w którym marszałek przyszedł na świat. Niestety jego dom nie zachował się do dnia dzisiejszego gdyż wskutek nieszczęśliwego zbiegu okoliczności zabrakło rąk do gaszenia pożaru, który wybuchł gdy wszyscy mężczyźni wyjechali by przetransportować nowe maszyny. Miejsce, w którym stał dwór Piłsudskich zostało specjalnie oznaczone a w jego pobliżu ustawiono płytę z następującym napisem:

„Dąb, jako symbol wieczności, posadzony został 10 października 1937 roku przez Prezydenta Rzeczypospolitej Ignacego Mościckiego i Marszałkową Aleksandrę Piłsudską w miejscu kolebki pierwszego Marszałka Odrodzonej Polski Józefa Piłsudskiego”.

Obok, na polu, ustawiono specjalne postumenty, którymi upamiętniono organizacje i osoby zasłużone dla Polski. Przy każdym z nich zasadzono małe drzewko.

Myśląc, że docierając do Kiejdan, wreszcie odetchniemy spokojnie, myliliśmy się, i to bardzo. Okazało się, że czeka tam już na nas pani Irena Duchowska, która nie poddając się szykanom ze strony miejscowej władzy wciąż krzewi polskość na tych ziemiach. Jest ona znaną poetką i mamy rzadką okazję otrzymać jej autograf w właśnie wydanym tomiku poezji. Oto tytułowe *Sentymenty*
„Coraz częściej, z sentymentem, wraca pamięcią do rodzinnej strzechy, ogródka kwiatów okalającego chatę, zielonego sadu, kwitnącej łąki za stodołą, mokradeł na wygonie, wiosną odwiedzanych przez

bociana, łąnów zbóż ojczystych, jak morze, falujących na wietrze, niebieskich pagórków pełnych bławatków, polanek poziomek porośniętych paprocią, poczucia jedności z przyrodą, młodzieńczych marzeń. Całe życie, wówczas, miałam przed sobą...”.



Irena Duchowska i zespół „Issa”. Foto: Krzysztof Tęcza

Pani Irena prowadzi literacki zespół pieśni „Issa”, który umilił nam kolację. Zespół zaśpiewał kilka pieśni ludowych a pani Irena zaprezentowała kilka swoich utworów. My kosztując smaku *cepelinów* myślami już byliśmy w łóżku hotelowym. Jak się jednak okazało nie dane nam było szybko udać się na spoczynek. Pani Irena wyciągnęła nas na wieczorny spacer po Kiejdanach. Mogliśmy dzięki temu poznać miejsca, których raczej nie pokazuje się w pierwszej kolejności. Chociaż ci mniej uważni mieli widoczne problemy z utrzymaniem się w grupie. Pani Irena, jak się okazało, miała niezłe „chody”. Trudno było za nią nadążyć. Ale warto było. Miasto o tej porze dnia wyglądało jak opuszczone. Niewielu mieszkańców włączyło się po ulicach.

Podczas oglądania starego placu słuchamy bardzo ciekawej opowieści o historii miasta, w którym właśnie się znajdujemy. Widzimy tu dwie synagogi, nie dziwi nas zatem, że jesteśmy na Rynku Żydowskim. Ale to, że w Kiejdanach istniało kiedyś aż 6 rynków, jest już dużym zaskoczeniem. U nas, w Polsce, również istnieją miasta, w których jest ich więcej. No ale są to z reguły dwa takie place. Ale tyle! Dalej idziemy ulicą Żydowską, robiącą wrażenie zadbanej, zwłaszcza jeśli wiemy kiedy była ona zbudowana. Aż dziw bierze, że stać było ich na jej urządzenie. Okazuje się jednak, że władze miasta wymyśliły w XVII wieku coś w rodzaju podatku wjazdowego. Otóż każdy kto wówczas przybywał do miasta musiał przywieźć ze sobą jeden kamień. Szybko zebrano ich taką ilość, że wystarczyło na wybrukowanie całej ulicy. Jakież to proste, a zarazem genialne posunięcie. Prawda?



Krzesełko Miłosza. Foto: Krzysztof Tęcza

Ponieważ w takich organizmach miejskich stare miesza się z nowym wcale nie zaskoczył nikogo fakt, że oto idziemy ulicą Czesława Miłosza. To właśnie przy niej, tuż przed mostem widzimy kilkumetrowej wielkości krzesło z zawieszonymi na nim krawatami. Jest to oczywiście „Krzesełko Miłosza”. Nie wszystkim jednak mieszkańcom podoba się taki sposób upamiętnienia naszego noblisty. Faktycznie wygląda to lekko dziwnie. Jeszcze dziwniej brzmi wiadomość o tym, że płynąca tu Niewiaża, płynie pod górę? Znamy liczne takie miejsca. Dotyczy to jednak dróg, na których samochody z wyłączonymi silnikami jadą pod górę, ale żeby woda płynęła pod prąd, pierwszy raz tego doświadczamy. Ponoć (niestety nie mieliśmy okazji tego sprawdzić) gdy płynący tym odcinkiem kajakarze zapatrzą się na otaczające ich piękno, kajaki cofają się pod prąd. Możemy sobie wyobrazić zdziwione miny wodniaków. Jest tutaj jeszcze jedna ciekawostka, a właściwie nowy świecki zwyczaj, jakbyśmy powiedzieli za poetą, nowa świecka tradycja. Otóż w Ratuszu znajduje się sala ślubów, co oczywiście nie jest niczym nadzwyczajnym. Jednak gdy spojrzymy na drugi brzeg Niewiaży zobaczymy na stromym zboczu ułożone z kolorowych kwiatów duże Słońce. To właśnie jest miejsce, do którego podążają pary młode by ślubować sobie dożgonną wierność i miłość. Aby na długo zapadła w pamięć tak ważna chwila w życiu nowożeńców, zamontowano w nurcie rzeki fontannę, która tryska wysoko strugami mieniącej się w świetle wody. Musi to być piękna oprawa uroczystości ślubnej – nie ma co się jednak temu dziwić, wszak często jest to najszczęśliwszy dzień w życiu młodych ludzi. Później już nie musi być tak miło. Ale to znak nowych czasów.

Na placu przed ratuszem wzniesiono niesamowity pomnik przedstawiający Janusza Radziwiłła. Ukazano tu najważniejsze rzeczy jakie on posiadał. Książę siedzi sobie wygodnie w fotelu a zarazem na wielkiej skrzyni symbolizującej zarówno posiadaną przez niego władzę a także olbrzymią fortunę. W zasadzie nie wiadomo co było ważniejsze. Bo w tamtych czasach posiadany majątek często rzutował na piastowane stanowisko i odwrotnie, posiadane stanowisko przynosiło niezłe dochody. I, jak to często bywa w naszej pogmatwanej historii, akurat ten pomnik przedstawia dla nas zdrajcę, dla Litwinów bohatera.



Pomnik Janusza Radziwiłła w Kiejdanach. Foto: Krzysztof Tęcza

Aby jednak nie rozpatrywać zbyt długo kto ma rację najlepiej jest udać się na sąsiednią ulicę, gdzie już z daleka widzimy bardzo ciekawą fasadę. W każdym z okien zamieszczono różnego rodzaju wesole przedstawienia. Są to najczęściej tańczący i bawiący się ludzie. Takich miejsc jest tutaj więcej. Np. na terenie dawnego cmentarza przy zborze luterańskim zbudowano kolorową fontannę. Jest tutaj także scena, na której świętowano uzyskanie niepodległości. Najchętniej jednak pamiątkowe zdjęcia turyści robią sobie na Knipawskim rynku siadając na murku niewielkiej fontanny, w której umieszczono przedstawienie serca zakrytego sierpem księżycy chroniącym je przed deszczem.

Wracając do hotelu docieramy do intrygującego obiektu. Wygląda jak świątynia tyle, że zbudowana z drewna pomalowanego na czarno. Jest to trochę takie ponure. Ale jak się okazuje to właśnie tutaj, po odzyskaniu domu bożego, umieszczono cudowny obraz św. Józefa, do którego znajdujący się w potrzebie, modlą się prosząc o potomstwo. Jak się okazuje często jest to ostatnia nadzieja, i bardzo często prośby te są wysłuchiwane!

My przeżyliśmy tutaj ciekawą przygodę z niezrozumieniem języka litewskiego, który jak się okazuje, wcale nie jest taki łatwy. Otóż staraliśmy się wyczytać na tablicy informacyjnej kto jest patronem tej świątyni. Wyszło nam, że jest nim św. Mikołaj. Jakież było zdziwienie gdy nasza przewodniczka wyjaśniła, że znajomo brzmiące słowo to nie Mikołaj tylko msza święta. Ciekawe, jak łatwo można się pomylić. Dzięki jednak temu poprawiły się nam humory. A gdy okazało się, że nasz kolega Stefan znalazł na trotuarze złote serce, zgubione tu niedawno, byliśmy nie tylko uradowani ale wręcz gratulowaliśmy mu niesamowitego szczęścia. Stefan nie był dłużny i pozował do pamiątkowego zdjęcia. I oto w tak dobrym nastroju wróciliśmy do hotelu. Nie pozostało nic innego jak kontynuować ciekawie rozpoczęty wieczór, choć niedługo. O północy grzecznie dano nam do zrozumienia, że pora iść spać.



Szczęśliwy znalazca złotego serduszka. Foto: Krzysztof Tęcza



Pomnik upamiętniający 75 powstańców 1863 r. w miejscowości Świętobrość. Foto: Krzysztof Tęcza

Mamy rano 1 lipca. Witamy nowy miesiąc. Żegnamy Kiejdany ale zanim opuścimy to ciekawe miasto na dobre, oglądamy jeszcze kilka zabytków. Wszak to właśnie tutaj umieścił akcję *Potopu* Henryk Sienkiewicz. Ale zupełnie niedaleko stąd opisywał piękne widoki Czesław Miłosz. Jeszcze dzisiaj można zobaczyć tu lepione z gliny budynki. Co prawda jest ich coraz mniej. Dojeżdżamy do miejscowości Świętobrość. Jest tutaj niewielki kościółek z cmentarzem, na którym znajdują się groby rodziny Szymona Syrucia, z pomnikiem wystawionym dla swojej, jak to określił, najlepszej żony Eufrozyny z hrabiów Kossakowskich Szymonowej Syruciovej. Inny ciekawy pomnik Jasińskich został specjalnie wzniesiony taki potężny by pokazać ówczesnemu księdzu znanemu z pogardy dla

wszystkich, że nie był on wcale taki wielki. Dla nas najważniejsze miejsce przy tym kościółku to okazały pomnik wystawiony dla upamiętnienia 75 powstańców z 1863 r., którzy oddali życie za Ojczyznę.

Tuż obok uchował się drewniany budynek starej plebani oddany obecnie na potrzeby społeczeństwa. To właśnie tutaj miały autentyczne wydarzenia opisane przez Czesława Miłosza. Chodzi oczywiście o Magdalenę. Jej pierwowzorem była Barbara pracująca na plebani, która z powodu nieszczęśliwej miłości do księdza popełniła samobójstwo. Ponieważ zjawy Barbary nawiedzała wioskę mieszkańcy rozkopali jej grób i przebili jej serce kołem. Wydarzenia te miały miejsce w latach dwudziestych XX wieku. Niemożliwe? A jednak!



"Chyba dobrze mi idzie?" - myśli Mietek. Foto: Krzysztof Tęcza

Gdy wracaliśmy do autobusu ujrzeliśmy bardzo rzadki u nas obrazek. Na łące kosił trawę starszy człowiek. Używał jednak zwykłej kosy, żadnej spalinówki. Był to tak zaskakujący obrazek, że Mieczysław postanowił spróbować czy jeszcze pamięta jak się w ten sposób zbiera trawę. Ku zaskoczeniu, zarówno nas jak i owego kosiarza poszło mu całkiem nieźle i trzeba było go „siłą” oderwać od zajęcia, do którego tak się zapalił.



"Dolina Issy" Czesława Miłosza. Foto: Krzysztof Tęcza

Nie pozostało nam nic innego jak udać się do miejscowości Szetejnie. To właśnie tam przyszedł na świat wspomniany Czesław Miłosz. To tu spędził on swoje dzieciństwo. Niestety dwór już nie istnieje.

Został jednak wybudowany nowy budynek, który jako własność fundacji jest wynajmowany na różne uroczystości. Wokół postawiono wiele pomniczków w kształcie książek, ze stronami zapisanymi podstawowymi informacjami. Dowiadujemy się z nich, że w ramach przemian ludność okoliczną wywieziono do tajgi syberyjskiej a obiekty zburzono, zaś sady wycięto. Nie zachowano nawet starych nazw na mapach. W ten oto sposób walczono wówczas z „niepewnym elementem”. Na szczęście takie podejście odeszło w niepamięć i gdy Czesław Miłosz przybył tu w 1999 roku zasadzono dęby jako symbol odrodzenia zniszczonego dworu i początku nowych czasów.

Najbardziej oglądaną jest rzeźba Barbary dłuta Algimantasa Sakalauskasa. To właśnie ona jako literacka Magdalena jest bohaterką *Doliny Issy*. A literacką Issę mamy na wyciągnięcie dłoni. To Niewiaza płynąca w dolinie za dworem. Gdy tam zajdziemy nie dziwią słowa Czesława Miłosza napisane gdy był tu ostatnio.

„To miejsce dla mnie zawsze obecne, zawsze ze mną. Nawet wtedy, gdy byłem daleko stąd, ono zawsze (było) w moich myślach. (...) To bardzo skomplikowane uczucie... Za każdym razem bardzo przeżywam spotkanie z Szetejniami i za każdym razem inaczej. I, oczywiście, bardzo...”

Tym razem docieramy do pałacu w Opitołokach gdzie w ostatnim czasie służył on za dom opieki dla ludzi niepełnosprawnych umysłowo. O tym jak wielu tu dokonało żywota świadczą całe rzędy grobów zarastających już drzewami. W miejscowym kościele pochowano Radziwiłłów. Jest tu grób księdza Tyszkiewicza czy groby rodziny Zabiełłów. Zwłaszcza przy tych ostatnich możemy prześledzić jak zmieniała się mowa polska. Są tu pochowane m.in.: Zofja, Zofija, Jadvyga czy Stefanija. Bardzo ciekawie brzmi oryginalne zaproszenie na ślub rodziców Czesława Miłosza, który odbył się tutaj 14 lipca 1909 r.



Krypta z sarkofagami Radziwiłłów. Foto: Krzysztof Tęcza

Zanim wyruszymy dalej wracamy na chwilę do Kiejdan gdzie zachodzimy do zboru kalwińskiego, w którego podziemiach zostali pochowani Radziwiłłowie, m.in. Janusz. Znajduje się tam kilka pięknie odrestaurowanych sarkofagów. Ze względu na przepisy utrzymywana jest tutaj stała temperatura (14

stopni Celsjusza) oraz wilgotność (67 %). Na razie wyposażenie kościoła jest bardzo ubogie. Ładna ambona z XVII wieku, trochę ławek, wystawa fotografii, ot i wszystko. Sprzyja to powstawaniu pogłosu, który skutecznie uniemożliwia wyraźne wysłuchanie tego co mówi przewodniczka. Dopiero teraz możemy docenić wyjątkową zaletę wspomnianych ławek. Są one tak wykonane, że oparcia można pochylać na obie strony, co pozwala na siedzenie w jedną albo w drugą stronę. Obecnie obiekt ten jest jednostką muzealną i odbywają się tu koncerty.



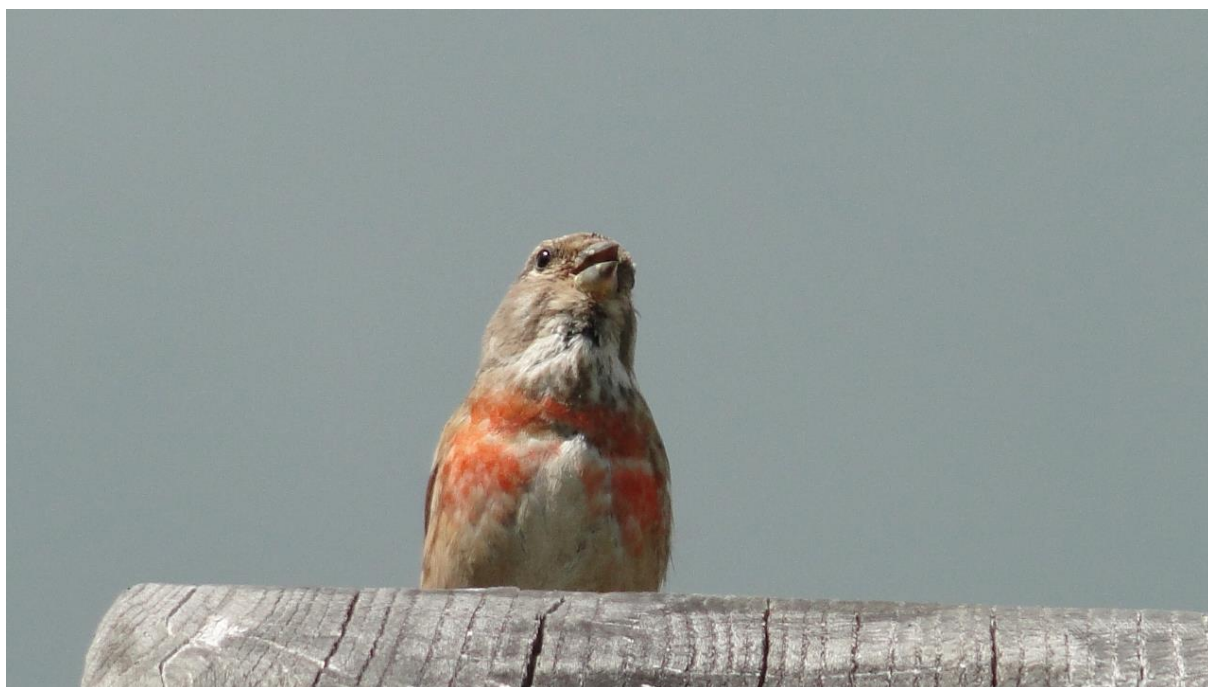
Góra Krzyży. Foto: Krzysztof Tęcza



Statki na niebie. Foto: Krzysztof Tęcza

Opuszczamy Kiejdany, przed nami Góra Krzyży – miejsce i magiczne, i dziwne, i trochę sztuczne. Jest to niewielkie wzniesienie, na którym znajdują się setki tysięcy krzyży. Są krzyże duże, widoczne z daleka, są też rzeźby, kapliczki, ale większość to zwykłe malutkie krzyżyki sprzedawane na dziesiątkach straganów usytuowanych przy parkingu. Jest to miejsce kultu ale obecnie wydaje się po prostu modne wśród turystów. Co drugi z nich kupuje mały krzyżyk i zostawia go tam gdzie wypatrzy odrobinę miejsca. Wygląda to bardzo przygnębiająco, tak jakbyśmy byli na cmentarzysku krzyży. Mam wrażenie, że cienka granica między pobożnością i dobrym smakiem a tandetą i pozostawianiem pamiątki w stylu „byłem tu” została już dawno przekroczona. Pierwotna chęć upamiętnienia swoich bliskich poległych np. w powstaniach, kiedy to nie można było tego uczynić w miejscu zamieszkania, niejako nadawała sens temu miejscu. Oczywiście były podejmowane przez władze próby zniszczenia tego miejsca. Rozważano nawet zatopienie wzniesienia. Nic jednak z tego nie wyszło. Patrząc na

tłumy tu przybywających ludzi pewnie dobrze się stało. Jeszcze lepiej, że miejsce to odwiedzają pięknie śpiewające ptaszki. A niebo nad okolicą słynie tu z białych obłoków płynących jak statki na niebie. U nas takiego nieba nie ma.



O czym też on śpiewa? Foto: Krzysztof Tęcza

Ale fajnie, jest wielka woda. Widać pływające stateczki turystyczne. To miejscowość Telsze. Musimy zostawić wszystko i nasycić oczy tym wspaniałym widokiem. Idziemy na wzgórze z amfiteatrem. Widok wprost powalający, a jakby tego było mało można zajrzeć do fajnej cukierenki. To w tej miejscowości przyszedł na świat późniejszy prezydent RP Gabriel Narutowicz.

Teraz nic nie stoi na przeszkodzie by zwiedzić kościół Bernardynów, ufundowany przez księcia Pawła Sapiechę. W kościele tym upamiętniono 600 rocznicę chrztu Żmudzi (1413). Jest on dosyć nietypowy, gdyż posiada ołtarze na obu kondygnacjach. Ozdobiono je licznymi rzeźbami przedstawiającymi świętych. Gdy przygląda się im podczas pogody to wpadające promienie słoneczne ukazują na ścianach krzyże będące odbiciem wzoru kolorowych szyb w oknach. W podziemiach znajdują się trumny miejscowych biskupów. Ale najciekawsze są drzwi wejściowe podzielone na osiem pól wypełnionych płaskorzeźbami. Można przy nich spędzić kilka godzin by prawidłowo zanalizować ich przekaz. Na placu ustawiono metalową makietę całego kompleksu dzięki czemu z układem zabudowy wzgórza mogą zapoznać się także osoby niewidome. Dalszy spacer po mieście to już czysta przyjemność, droga do centrum prowadzi ciągle w dół. Na początek możemy zrobić sobie pamiątkowe zdjęcie przy rzeźbie przedstawiającej niedźwiedzia niosącego na grzbiecie rozbawione misie i dzieci. Później, już przy pomniku z zegarem, warto przemóc się i spróbować swoich sił w specjalnej grze. Ten kto ją wymyślił powinien dostać nagrodę. Otóż na ruchomej platformie umieszczono wizerunki zabytków a pomiędzy nimi wyryto nieckę rzeki, którą należy przetoczyć kulę. Gwarantuje świetną zabawę i ręczę, że nie będzie to wcale takie łatwe.



Foto: Krzysztof Tęcza



Pałac Ogińskich w Płungianach. Foto: Krzysztof Tęcza

Już dawno tak się nie cieszyliśmy. Nic dziwnego, że nawet nie zauważyliśmy kiedy znaleźliśmy się w Płungianach. To właśnie tutaj w pałacu Ogińskich została założona szkoła muzyczna, w której pobierał nauki wspomniany pierwszego dnia naszej podróży Mikołaj Konstanty Čiurlionis. Obecnie obiekt ten wraz z 58 hektarowym parkiem jest w trakcie rewitalizacji. Stało się to możliwe dzięki napisaniu wspólnego projektu przez Litwę, Białoruś i Łotwę. Będą one wspólnie obchodziły Rok Kleofasa Michała Ogińskiego. Jak na razie nie widać żadnych ruchów w tym kierunku ze strony Polski. Warto tutaj pospacerować alejkami parkowymi, warto przytulić się do kory olbrzymiego drzewa znanego jako dąb Perkuna. Ale warto obejść cały pałac dookoła. Prezentuje się on znakomicie.

Zwłaszcza od strony podjazdu z położonym centralnie stawem z rzeźbą dziewczyny. To w rosnących tu roślinach wodnych przechadzają się małe ptaszki, to znikające w kwiatach czy liściach, to ukazujące się na chwilę. Widok ten jak i obserwacja tak nas pochłona, że zaraz okaże się, iż tylko nas brakuje w autobusie. A przecież to już wieczór i jedziemy na nocleg do Kłajpedy. Wszyscy są już nieco zmęczeni.

Wreszcie jesteśmy zakwaterowani i możemy ruszyć na wstępne rozpoznanie Kłajpedy. Nie ma chyba nikogo w naszej grupie kto nie słyszałby przynajmniej o tym mieście. Warto zatem iść na spacer puki jest jeszcze widno.

Ruszamy tam gdzie wydaje nam się, że podążają inni. Faktycznie jest tu gwarnie i ruchliwie. Ale nie za długo. Jak szybko był ruch tak szybko skończył się gwar. Przemknęliśmy jakimiś bocznymi uliczkami i w końcu ponownie trafiliśmy tam gdzie coś się dzieje. Niestety niechęć przekraczamy o jeden most za ... wcześniej, i okazuje się, że wszystkie czynne knajpki pozostały na drugim brzegu. Na szczęście nasz hotelik znajduje się przy głównym deptaku i tam bez problemu możemy posiedzieć sobie popijając litewskie piwo. Gdy decydujemy się iść odpocząć wciąż jest widno. Zegarek wskazuje północ. Wiemy, że czas na Litwie jest przesunięty w stosunku do naszego o godzinę ale to i tak nie tłumaczy jasności. Okazuje się, iż to są początki białych nocy. Faktycznie gdy wstajemy rano wciąż jest tak samo jasno.

Nic to jednak, wszak to już piąty dzień naszych wojaży. Jesteśmy coraz bliżej domu. Jest 2 lipca. Zmienia się pogoda. Mimo wczesnego ranka już czujemy upał. A ponoć ma być jeszcze cieplej. Dobrze, że jedziemy od razu do portu gdzie nasz autobus wjeżdża na prom i płyniemy na Mierzeję Kurońską. Niestety prom jest tak załadowany samochodami, że nie możemy wyjść z autobusu by podziwiać widoki. Trudno. Nie trwa to jednak zbyt długo. Okazuje się, że opłatę za przejazd autokarem uiszcza się tylko w jedną stronę – tam. Z powrotem już się nie płaci, i tak musimy wrócić, nie mamy przecież innej drogi.

Wyjeżdżając wcześniej rano zyskaliśmy jednak na wygodzie. Wciąż są wolne miejsca parkingowe. Bez problemu zostawiamy autobus i ruszamy ścieżką prowadzącą na punkt widokowy. Jest tam zbudowany wielki zegar słoneczny. Każdy sprawdza swój znak zodiaku i co z tego wynika. Szybko jednak porzucamy tę zabawę i rozglądamy się po okolicy. Widoki są zaiste wspaniałe. Tu zatoka, tu morze. Pośrodku wydmy, jedne stare, drugie dopiero się tworzące. Obowiązuje na nie zakaz wejścia. Podyktowane jest to możliwością utonięcia w ruchomych piaskach. Po wydmach biegają niezrażone taką wiadomością ptaszki. No pewnie ich waga w porównaniu do naszego ciężaru pozwala im na taki spokój.



Widok z najwyższej wydmy na Mierzei Kurońskiej. Foto: Krzysztof Tęcza

Patrząc na te rozległe widoki, czując panujący tu spokój, no i oczywiście ze względu na ładną pogodę, nie dziwimy się słowom przewodniczki, która podpowiada, że gdybyśmy zechcieli tu przyjechać na odpoczynek, to miejsca powinniśmy rezerwować już teraz na przyszły rok. Później będą znikome szanse na powodzenie takiego pomysłu.

Stojąc tak na najwyższej wydmy ma się wrażenie, że piasek pod naszymi nogami jakby znajdował się poniżej linii brzegowej. Czy to możliwe? Pewnie nie. Ale faktem jest, że ustawione tu stragany mają różnej wysokości nogi wyrównujące stromość zbocza.



Foto: Krzysztof Tejczak

Teraz bogatsi o nową wiedzę wyruszamy dalej a gdy autobus sunący po krętych drogach odchyła się niebezpiecznie na zakrętach pomagamy kierowcy odchylając się w drugą stronę. Wydaje się nam, że to skutkuje. W każdym razie docieramy bezpiecznie do miejscowości Nida gdzie musimy zostawić nasz pojazd na specjalnym parkingu przed kurortem. Obowiązuje tu całkowity zakaz wjazdu autobusów oraz w godzinach nocnych samochodów osobowych. Idziemy podziwiać nowo zbudowany kościółek, po którego stromym dachu próbuje chodzić sobie sroka. Niestety nie bardzo jej to wychodzi, wszak obie nogi ma tej samej długości. Pierwsze co nas urzeka w tym obiekcie to umieszczone zamiast fasady przeszklone drzwi garażowe. Czyż to nie świetny pomysł. Raz, że wszystko przez nie widać, dwa, że gdy jest zbyt ciepło wystarczy je wszystkie otworzyć i mamy naturalną klimatyzację. Podczas dalszego spaceru ponownie zostajemy zaskoczeni. Tym razem widzimy pasy dla pieszych namalowane po przekątnej ulicy. Faktycznie, bardzo to usprawnia swobodne przejście. Zwłaszcza gdy idzie się w stronę plaży, gdzie można spokojnie pospacerować lub odpocząć w cieniu pięknej syrenki albo odkrywać jakie to sławy umieszczono w miejscowej *Alei gwiazd*. Co jednak było dobre w jedną stronę nie koniecznie będzie dobre w drodze powrotnej. Okazało się, że jest nagroda, musi być utrudnienie. Powrót jest tylko jedną drogą – wciąż pod górę. Okazało się to jednak zbawienne. Przez krótki czas w autobusie mieliśmy względny spokój. Każdy musiał dojechać do siebie. A późniejsze podejście do domu, w którym tworzył Tomasz Mann jeszcze bardziej nas wyciszyło. Pozwoliło to na wysłuchanie opowieści o pisarzu i jego życiu przedstawionej przez dyrektorkę muzeum. Warto było posłuchać, wszak Mann to drugi noblista, którego ślady odkrywamy podczas naszej wyprawy.



Dom Tomasza Manna. Foto: Krzysztof Tęcza



Ławeczka zdrowia. Foto: Krzysztof Tęcza

Ale to nie wszystko. Teraz czeka nas wizyta w miejscu niezwykłym. Miejscu stworzonym nie tak dawno temu ale już wrośniętym w krajobraz. Jest to Juodkrante - Góra Czarownic. Gdy zastanawiano się jak stworzyć coś ciekawego, co by przyciągało turystów postanowiono nawiązać do starej legendy mówiącej o poganach, którzy świętowali święto rosy przypadające 23 czerwca. Podczas wesołych tańców zrzucali oni z wysokiego brzegu do zatoki pływające gałęzie nasyczone żywicą. Próbowali w ten sposób wypędzić biedę i choroby. W 1978 roku państwo dostarczyło stosowny materiał i zaprosiło artystów, którzy podjęli się wyrzeźbić w drewnie postaci z różnych legend i przekazów. Głównym

jednak motywem miała być czarownica. Gdy rzeźby były już gotowe ustawiano je na wytyczonej ścieżce w lesie a odwiedzający to miejsce poznawali z jakiej bajki pochodzi dana postać.

Na początku ustawiono rzeźbę Bajarza, który opowiada legendę. Kolejna postać to Neringa narodzona z fali morskiej. Są tu trzy czarownice. Jest ławka zdrowia, na której należy usiąść by zostawić wszystkie swoje choroby. Niestety czasami jest tak wielu chętnych, że aż dziw bierze, iż dźwigające ją czarownice są w stanie udźwignąć taki ciężar. Jest też tron, na którym powinna usiąść czarownica. Okazuje się, że wbrew oczekiwaniom, mało która z idących tu pań chce spróbować czy nie chodzi przypadkiem właśnie o nią. Oczywiście nieco dalej jest podobny tron, na którym wybieramy czarownika. Tu, o dziwo, też nie ma zbyt wielu chętnych. Niejako na zgodę ustawiono ławeczkę dla zakochanych. Ale całość kończy zespół rzeźb przedstawiających wesole tańce. Oczywiście podobnych rzeźb jest tutaj o wiele więcej, nie mogę jednak zdradzić wszystkiego, tak by została jeszcze do odkrycia jakaś tajemnica.



Foto: Krzysztof Tęcza

Kolejnym miejscem, do którego zmierzamy, a które od samego ranka bardzo nas interesuje jest Smiltyne – Litewskie Muzeum Morskie z delfinarium w dawnej twierdzy Koppalis. Jest to spory obiekt, w którym zbudowano specjalny basen dla delfinów. Normalnie pływają sobie one jak chcą ale co kilka godzin dają pokaz swoich umiejętności. Ponieważ byliśmy w tym miejscu pierwszy raz zastanowiło nas, że podglądane przez szyby delfiny zaczynają być jakieś żywsze. To zbliżała się właśnie pora ich pokazu. Wygląda na to, że one to lubią. Zapewne też lubią swoich trenerów, którzy wyprawiają razem z nimi ciekawe sztuczki. Niektóre ewolucje są bardzo fajne, niektóre zabawne, ale są też takie, które mrozą krew w żyłach. Widać, że jest to po prostu dobra zabawa, zarówno dla delfinów, ich opiekunów ale także dla widzów, którzy zachęceni tym widokiem wykupują dodatkowe bilety by móc pogłaskać upatrzzonego delfina. I co ważniejsze, nikt nie żałuje wydanych pieniędzy, twierdząc że jeszcze tu powróci. Lepszej reklamy nie może być.



Foto: Krzysztof Tęcza

Kolejnym ciekawym miejscem, które zobaczyliśmy był pałac Tyszkiewiczów w Kretyndze. Jest tutaj ciekawe muzeum ale perełką jest wspaniała oranżeria urządzona przez Józefa Tyszkiewicza. Jej dodatkową zaletą jest możliwość zamówienia posiłku w tak pięknej scenerii. Oczywiście coś za coś. Na pewno posiłek w takim miejscu na długo zapadnie w naszej pamięci, ciekawe tylko czy z powodu właśnie tego wyjątkowego otoczenia, czy z powodu gorąca jakie tutaj panuje.



Oranżeria przy pałacu Tyszkiewiczów w Kretyndze. Foto: Krzysztof Tęcza

Dzisiejsza wycieczka na pewno nie byłaby pełna gdybyśmy nie dotarli do Poługi. To niewielkie uzdrowisko kwitło dzięki Tyszkiewiczom. Dzisiaj każdy kto odwiedza to miejsce musi przejść się po

ponad 400 metrowej długości molo. W zasadzie każdy znajdzie tutaj coś dla siebie. Jest nawet restauracja z fajkami wodnymi. Ale mimo, iż panuje tu niezwykle tłok czuje się bezpieczeństwo. Cały czas jeździ tutaj dwuosobowy patrol policyjny na SEGWAY-ach i gdy tylko zrobi się nieco głośniejsze oni momentalnie są na miejscu. Samo ich pojawienie wystarczy by wszystko się uspokoiło. Na dodatek nie mają nic przeciwko wspólnej fotografii. Korzystają z tego przede wszystkim panie.

Pogoda była wspaniała, wręcz mówiąca: idź na plażę, odpocznij, wykąp się w morzu. Toż to nasz Bałtyk.



Policja ochraniająca molo. Foto: Krzysztof Tęcza

Nie dane jednak było. Czas nagle, trzeba wracać do Kłajpedy. Tam przecież, po kolacji planujemy kolejny spacer. A później odpoczynek w jakiejś położonej nad brzegiem restauracji.

No i mamy 3 lipca, to już przedostatni dzień naszego wyjazdu na Litwę. Dzisiaj plan jest bardzo napięty. Damy jednak radę. Na początek jedziemy do miejscowości Retów, w której znajduje się ciekawy kościół uważany za jeden z najładniejszych na Żmudzi. Faktycznie, już z daleka przyciąga wzrok swoją bryłą. Wielka rozeta umieszczona centralnie nad wejściem jest niejako obramiona wysokimi wieżami. Warto jednak udać się od razu do wnętrza, gdzie panuje przyjemny chłodek. Trzeba tylko wiedzieć, że główne wejście jest zamykane kratą i należy wejść bocznymi drzwiami znajdującymi się z tyłu świątyni. Tam też mamy toalety.

Gdy rozejrzemy się z łatwością wypatrzymy bardzo zgrabne przedstawienie św. Jerzego walczącego ze smokiem. Zarówno miny świętego jak i smoka są jakieś takie ciekawe. Obaj jakby się uśmiechali. Przyczyną tego pewnie jest fakt wyjęcia z dłoni świętego dzidy, którą normalnie przebija on smoka. Smokowi na pewno się to podoba. Sam fakt przygniecenia go kopytami konia jest wystarczająco nieprzyjemny.

Zauważamy tu bardzo rzadką sprawę. Otóż wysoko na ścianie w kopule umieszczono zwinięte ozdobne dywaniki spuszczone podczas uroczystości pogrzebowych. Aby lepiej przyjrzeć się zastosowanemu wzorowi dobrze jest przysiąść w wygodnych ławkach. Wtedy jednak okaże się, że nie

są to takie zwyczajne ławki. Wykonano je jako samodzielne siedziska dla 7 osób każda. Każdy taki zestaw posiada osobną podłogę oraz oparcie, zarówno na plecy jak i przednie z klęcznikiem. Jest więc możliwość, pomimo ich ciężaru, przenoszenia ich w inne miejsca.

Ponieważ na dzień dzisiejszy ulokowano tu wystawę poświęconą Michałowi Kleofasowi Ogińskiemu możemy dowiedzieć się wiele ciekawych faktów z jego życia.



Kościół w Retowie. Foto: Krzysztof Tęcza



Św. Jerzy pozbawiony dzidy. Foto: Krzysztof Tęcza

Retów to miejscowość związana z rodziną Ogińskich. Odwiedzając Muzeum Krajoznawcze dowiemy się znacznie więcej niż do tej pory. Warto także odwiedzić Dom Kultury, w którym podtrzymywane są

tradycje muzyczne. Na potrzeby ludności przerobiono stary budynek w ten sposób, że znajdują się tu dwie sale koncertowe, jedna nad drugą. Można zatem jednocześnie organizować dwie imprezy. W drodze powrotnej na parking wypada podejść do kaplicy grobowej, w której pochowano kilku członków rodziny Ogińskich. Jest tu nagrobek Mykolasa, który pod koniec XIX wieku wprowadził tutaj elektryczność. Jest też pomnik Bogdana ostatniego z rodu książąt Ogińskich. Obok zaś można zadumać się stojąc przed pomnikiem upamiętniającym męczeńską śmierć miejscowego rabina, którego w 1941 r. Niemcy zakopali żywcem.

Oczywiście w okolicy mieszkali także członkowie mniej znanych rodów. Np. w miejscowości Kielmy zachował się spory dwór (właśnie remontowany) wzniesiony przez Grużewskich. Warto tutaj zobaczyć widok poprzez paradną bramę wjazdową, w której, ze względu na jej wielkość, właściciel przechowywał swoją bibliotekę.



Cytowiany – pobernardyński zespół klasztorny. Foto: Krzysztof Tęcza

Nie da się jednak na dłuższą metę unikać obiektów związanych z tymi najbardziej znanymi nazwiskami. Tak jest np. w Cytowianach, gdzie znajduje się kościół Najświętszej Maryi Panny Anielskiej i pobernardyński zespół klasztorny, uważany za jedno z najstarszych i największych sakralnych założeń barokowych na Litwie. Ponieważ przybywało tutaj często po kilkadziesiąt tysięcy pielgrzymów obiekt został tak zaprojektowany, że liczne krużganki pozwalały im na schronienie. Do tego na ścianach umieszczono drogę krzyżową. Poszczególne stacje wykonano jako obrazy naścienne lub jako sceny płaskorzeźbione. Ciekawostką jest tutaj panorama miasta znajdującego się za murami namalowana nad bramą wyjściową z krużganków. Tak nad brama wyjściową! Zakonnicy bowiem tu żyjący czasami mieli pokusę by wyjść za mury i zobaczyć jak wygląda normalne życie. A tak, podchodząc do bramy spoglądali na górę i często widok namalowanego miasta wystarczał im, by nie kusić złego. Zostawali po tej stronie bramy. Na pokutę zaś udawali się do wzniesionej centralnie kaplicy loretańskiej, w której po przejściu świętych schodów, ochota na dalsze spacery całkowicie im odchodziła. Kolana wystarczająco bolały.



Sanktuarium Maryjne w Szydłowie. Foto: Krzysztof Tęcza

Kolejnym miejscem pielgrzymkowym jest tutaj Szydłowo. Niektórzy porównują go do Częstochowy. Sądzę, że ludzie tak twierdzący nigdy nie byli w Częstochowie. Według mnie jest to „lekka” przesada. Faktem jednak jest, że zdarza się, iż olbrzymi plac położony pomiędzy niezwykle wysoką kaplicą pogrzebową (zaprojektowana przez Antoniego Wiwulskiego, tego samego, który zaprojektował pomnik Grunwaldzki w Krakowie i Trzech Krzyży w Wilnie) a właściwym kościołem wypełnia się cały wiernymi. Widać wtedy właściwie tylko pomnik Jana Pawła II stojący pośrodku placu.



Obraz Matki Boskiej w Szydłowie. Foto: Krzysztof Tęcza

Dlaczego jednak nie jest to Częstochowa? Oczywiście wszystko zaczęło się od cudu. Gdy Matka Boska ukazała się pastuszkowi, a ten przekazał jej słowa kapłanom, ci uznali to za cud. Jest to jedno z najstarszych objawień w Europie i prawdopodobnie jedyne, gdy Maryja przemówiła do człowieka, który nie był katolikiem. Różne zbiegi okoliczności doprowadziły do stanu dzisiejszego świątyni. Najważniejszym był wygrany proces z kalwinami i otrzymanie odszkodowania za zagarnięte mienie kościelne. Jak widać były to dobrze spożytkowane pieniądze. Faktem jednak jest też to, że obraz Matki Boskiej został namalowany na zamówienie w Londynie w wieku XVIII.

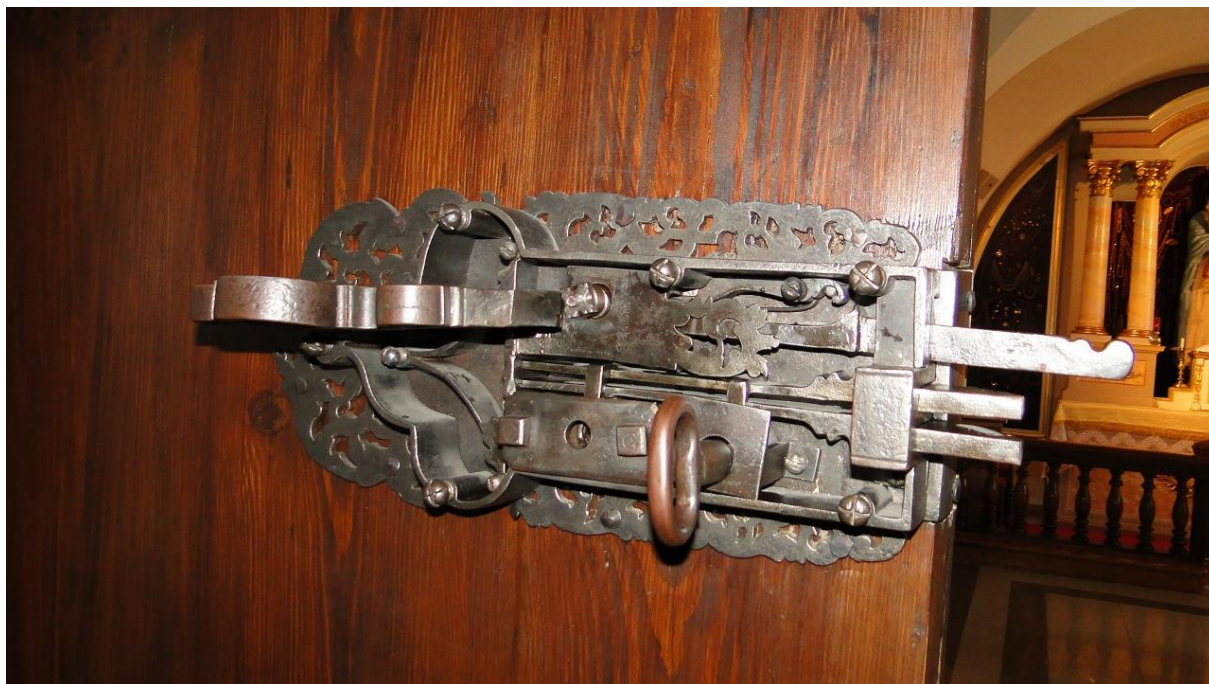


Foto: Krzysztof Tęcza



Budynek poczty, na której nadawał swoje listy Honoré de Balzac. Foto: Krzysztof Tęcza

Kolejna miejscowość związana z Radziwiłłami, a uwieczniona przez Sienkiewicza w *Trylogii* to Taurogi. Dzisiaj niestety sam obiekt, choć potężny, nie robi specjalnego wrażenia. Jest tu punkt Informacji turystycznej, w którym można dostać informatory w języku polskim. Jest tu jednak inna ciekawostka. Otóż to tutaj przebywał Honoré de Balzac, który właśnie stąd wysyłał listy do swojej ukochanej Eweliny Hańskiej. Tu także oczekiwał listów od niej. Co najciekawsze w tym wszystkim to fakt, iż budynek poczty, z której korzystał Honoré zachował się do dnia dzisiejszego i nadal mieści się w nim poczta!



Zamek w Jurbork. Foto: Krzysztof Tęcza

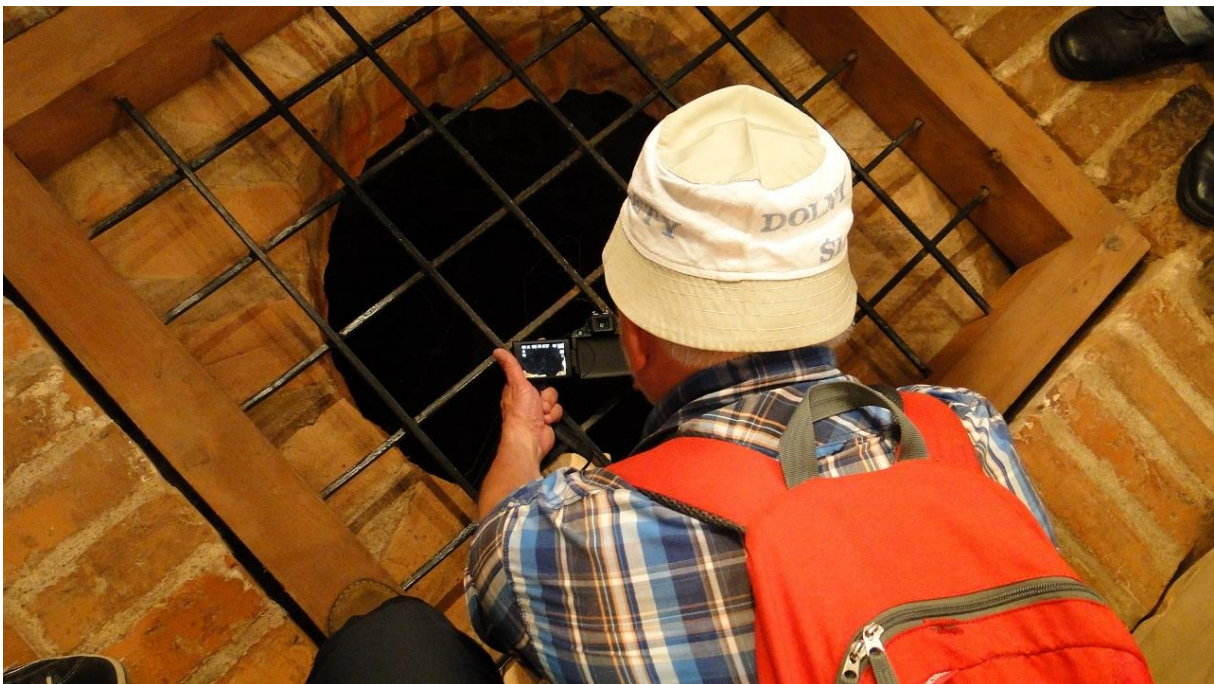
Niezwykłe pozytywne wrażenie wywarł na nas inny równie wielki zamek, może nawet większy. W każdym razie ujrzelśmy go już z daleka. Jego potężne mury i wysokie wieże wznoszą się na skarpie nad Niemnem. Jednak dopiero gdy znajdziemy się na dziedzińcu dociera do nas jego ogrom. I to mimo wyburzenia jednego skrzydła, które przeszkadzało ówczesnemu właścicielowi zastraszając dostęp promieni słonecznych. Gdy opuszczonym zamczyskiem zainteresowało się Ministerstwo Kultury wykonano tu (1982) remont doprowadzając do powstania kilkunastu pokoi hotelowych i restauracji. Dzisiaj obiekt ten, znany jako zamek Giełgudów lub Poniemuń, jest zarządzany przez prywatną osobę, która zgodziła się przerwać wypoczynek na ławeczce i oprowadziła nas osobiście po obiekcie.

Zwiedziliśmy remontowane piwnice oraz nieużytkowane do tej pory skrzydło, w którym odkryto wiele ciekawych fresków. W części hotelowej znajduje się wejście na wieżę, z okien której roztacza się przepiękny widok na Niemen. Aby jednak go ujrzeć trzeba zdecydować się na pokonanie prawie 120 stromych schodów. Z całą odpowiedzialnością muszę przyznać, że warto podjąć ten wysiłek. Ciekawym miejscem jest znajdujący się w tej wieży loch głodowy, do którego spuszczano ludzi, którzy dopuścili się największego z przestępstw. Zapewne każdy zapyta się jakież to przestępstwo uważano w tamtych czasach za najcięższe. Nie uwierzycie. Chodzi oczywiście o niespłacanie swoich długów! Ciekawe jest tu, że gdy tak wpatrujemy się w czerń otworu lochu głodowego mamy wrażenie, jakby

ktoś tam przebywał. Może na nasze odczucie wpływa fakt, że tuż obok znajduje się kasa hotelowa. Na wszelki wypadek lepiej nie pytać.



Foto: Krzysztof Tęcza



Jest tam ktoś czy nie? Foto: Krzysztof Tęcza

Najważniejsze są tu bardzo dobrze urządzone pokoje, restauracja oferująca smaczne jedzenie, możliwość negocjacji cen przy większych grupach, a przede wszystkim osoba gospodarza, który serdecznie zaprasza.

Następna miejscowość to Wielona, miejsce, w którym księżę Giedymin został ranny w bitwie z Krzyżakami. Niestety zmarł. Dzisiaj historycy wysuwają coraz mocniej hipotezy, że niemożliwe jest by z odniesionych wówczas ran księżę mógł zejść z tego świata, że jednak ktoś mu w tym pomógł. Miejsce to jest dosyć wymagające. Trzeba wspiąć się na strome wzgórza. Jedno to wzgórze Zamkowe drugie Gedymina. Co prawda trawa jest tutaj przystrzyżona i założono drewniane schodki i chodniczki ale jednak patrząc na stromiznę zboczy ma się obawy czy damy radę.

W końcu zmęczeni docieramy do Kowna. To przedostatnia stolica Litwy w okresie kiedy Wilno należało do Polski. Warto zatem po kolacji ruszyć na małe rozpoznanie. Główny deptak wygląda zachęcająco jednak jak się okazuje trwa tutaj wielki remont. Może właśnie dlatego wydawało nam się, że gdy zobaczyliśmy drzewa poubierane w sweterki wykonane na drutach czy inne ciekawe okrycia, spowodowane to jest chęcią ich ochrony. Okazało się jednak, że to taki wyraz miłości. Fajna sprawa. Równie ciekawie wyglądają dziesiątki ogromnych doniczek z kosówkami ustawionych na chodniku. Największym jednak zaskoczeniem był widok wielopoziomowego parkingu wykonanego dla marketu. Parking został tak wykonany, że wychodzi on tarasami na filarach nad kilkupasmową jezdnią, jedną z głównych w mieście. Co za oszczędność miejsca. Ciekawe tylko kto płaci podatki, właściciel parkingu, czy właściciel drogi. Nie zastanawiając się dłużej nad tym ruszyliśmy w stronę gdzie powinien być brzeg Niemna. Okazało się, że nie tylko my chcieliśmy zobaczyć światła odbijające się w nurcie rzeki. Faktycznie ciekawy to widok, tylko czemu po drugiej stronie wody widać wielką cementownię.



Kowno. Foto: Krzysztof Tęcza

Rano wstajemy rześcy i wypoczęci. W sumie jeszcze nie wiemy czy jest nam przykro, że to już ostatni dzień naszego pobytu na Litwie czy cieszymy się, że to już koniec i wreszcie odpoczniemy. Jest 4 lipca 2015 r. Ruszamy na pieszy spacer po mieście.

Przede wszystkim udajemy się pod gmach Muzeum Historii Wojny pilnowany przez dwa lwy. Na placu obok wzniesiono z kamieni zebranych na polach bitew obelisk z umieszczoną na nim datą 1921.

Wzdłuż alei ustawiono kolumny z popiersiami najbardziej zasłużonych osób. Pali się tu wieczny płomień. Jest też pomnik „księgonosza” czyli człowieka, który w czasach gdy język ojczysty był zakazany przenośli z zagranicy książki załadowane do plecaków. Niestety złapany z reguły kończył na Syberii. Kowno, a właściwie jego centrum to 5 głównych ulic krzyżujących się z kilkoma poprzecznymi. Prosty i nieskomplikowany układ. Ale to tylko w centrum. Dalej nie jest już tak prosto. Gdy mieszkał tu Mickiewicz tak mu się spodobało, że opisał w *Grażynie* park na Zielonej Górze, do którego chodził niemal codziennie. Dzisiaj Mickiewicz doczekał się ulicy swojego imienia a w amfiteatrze organizowane są święta muzyki. Jest tu także, ponoć jedyny na Litwie, tunel kolejowy (1,5 km) zaprojektowany przez Stanisława Kierbedzia. Ale okolice te to także tragedia kilkudziesięciu tysięcy jeńców, z których większość zakończyła tu swoje życie.

Ale oto widać już wielki akwen. To tzw. Morze Kowieńskie. Gdy jest, tak jak dzisiaj, piękna pogoda, przybywają tu spragnieni chłodu. Wydaje się, że są tu wszyscy okoliczni mieszkańcy. Naszym celem jest jednak wyjątkowy zabytek. To zespół kościoła pw. Nawiedzenia NMP i klasztoru kamedułów z 1662 roku, położony na półwyspie Pożajście. Dzisiaj, ze względu na święto, jedyną możliwością na wejście do środka jest pojawienie się tutaj na godzinę przed mszą świętą. Niestety część klasztoru to obecnie restauracja i, mimo iż właśnie przez nią prowadzi główne wejście na plac kościelny, wisi tam karteczka, że poza gośćmi restauracji nie wolno tędy przechodzić. Musimy skorzystać z wejścia bocznego, które niestety jest zamknięte naглуcho. Mieliśmy jednak wyjątkowe szczęście, przyjechał samochód dostawczy i mogliśmy przemknąć przez otwieraną bramę. Nie wiem czy podobało to się pilnującym ale nam też nie podobało się robienie nas w balona. W końcu do mszy pozostało już tylko pół godziny a wtedy musimy opuścić to uroczne miejsce. A faktycznie warto było wejść do kościoła. Już dawno nie widzieliśmy takiego przepychu. Widać od razu, że Krzysztof Zygmunt Pac, który wyłożył pieniądze na budowę nie musiał się z nimi liczyć. Zatrudnił najlepszych architektów włoskich. Kiedyś nie wolno było tu wchodzić kobietom, poza kilkoma dniami w roku. Oczywiście nie dotyczyło to pani Pacowej, dla której nie tylko wykonano specjalną lożę ale także pokoje gościnne. W końcu to także od niej zależały finanse na utrzymanie obiektu. Sprowadzeni tu Kameduli mieszkali w specjalnych domkach zwanych eremami czyli pustelniami i nie wychodzili poza mury klasztoru. Mogli oni jedynie raz w roku wejść na wieżę kościelną by popatrzeć sobie na okolicę. Byli jednak i tacy, którzy nie korzystali z tego prawa. Tak na co dzień poza modlitwą, zajmowali się oni pracą dla kościoła oraz uprawą ogródków, co czyniło ich samowystarczalnymi w sprawie wyżywienia.

Wracając do Kowna znowu widzimy Zieloną Górę i dolinę, w której stała karczma „Piekło”. Sam Mickiewicz pisał o niej w *Grażynie*.

Jest jednak w Kownie także zamek, olbrzymi, z czerwonej cegły. Niestety po pokonaniu Krzyżaków w bitwie pod Grunwaldem traci on swoje znaczenie militarne i dzisiaj odbywają się tu wielkie imprezy rozrywkowe. Jest także kościół św. Józefa Męczennika, właśnie remontowany, przywracany do życia. Jest pomnik biskupa Motiejusa Valanciusa, który w ramach przywracania języka ojczystego (w tym wypadku litewskiego) organizował akcję przenoszenia książek w plecakach, o czym wspominałem już wcześniej. Kowno ma Białego Łabędzia – tak mówi się o ratuszu. Co prawda nie do końca wiadomo o co chodzi ale budynek jest niczego sobie. W cieniu rosnących drzew można dostrzec młodych artystów malujących ten obiekt. Faktem jest, że jako kamień węgielny użyto tutaj beczułki miodu pitnego. Może właśnie ów fakt, a właściwie, co jest rzeczą zupełnie naturalną, kosztowanie trunku doprowadziło do takiego postrzegania przyszłej siedziby władz – Białego Łabędź.



Zamek w Kownie. Foto: Krzysztof Tęcza



Biały Łabędź. Foto: Krzysztof Tęcza

Dobrze stało się, że tuż obok wybudowano fontannę, z której płynie święta woda mająca właściwości nie tylko lecznicze ale wręcz odmładzające. Dlatego trzeba wykazać się rozwagą i umiarem by nie trzeba było cofnąć się do czasów pampersów. Dotyczy to, i pań i panów. Nie wiadomo dlaczego nie dotyczy dzieci.



Odmłodniejemy? Foto: Krzysztof Tęcza

I znowu trafiamy na dom, w którym mieszkał nasz wieszcz. Adam Mickiewicz przebywał tutaj w latach 1819-23. Napisał wtedy m.in. Odeę do młodości. Gdy patrzymy w okna pokoju, w którym mieszkał widzimy jak poruszają się firany a na parapecie leżą stosy papierów. Czyżby jakiś duch?



Foto: Krzysztof Tęcza

Dla ochłody trzeba udać się nad Niemen. Nie za długo jednak, bo w kościółku akurat udzielane są śluby. Młodym parom nie straszna jest wiadomość umieszczona na tablicy, że ich ukochana rzeka potrafi podnieść swój poziom o kilka metrów i wlać się do tego właśnie Domu Bożego. Ale jest tu inny kościół a właściwie katedra św. Piotra i Pawła. To tam obejrzymy obrazy Elwiro Andriollego czy

usłyszymy dzwon, na którym zapisano: Żywych wołam, święta ozdabiam, o nieszczęściach uprzedzam, zmarłych opłakuje”. Nas wita jeszcze zabłąkany gołąbek, który zmęczony siada na ręce wyciągniętej ku pomocy.

My, by nieco odsapnąć, udajemy się w kierunku straganów, na których widzieliśmy wiele ciekawych wyrobów. Kupiliśmy kindziuk, wędzony biały ser, słoninę, którą można smarować chleb tak jak masłem, kiszkę ziemniaczaną, kwas chlebowy. Teraz nic nie było w stanie oderwać nas od wzajemnego częstowania się i próbowania zakupionych smakołyków. O dziwo, niektórzy do tej pory nie jedli jeszcze takich wyrobów.

Wracając jednak do znanego nam już nazwiska rodziny Paców, to właśnie docieramy do miejscowości Jezno. Pacowie wzniesli tu potężny pałac, wykończony z takim przepychem, że pojawiło się, znane do dzisiaj, powiedzonko *Wart Pac pałaca, a pałac Paca*. Obiekt ten miał tyle okien ile dni w roku, tyle pokoi ile tygodni w roku i tyle komnat ile miesięcy. Niestety niewiele pozostało z owego obiektu. Zachował się tu jednak ciekawy kościół, rozbudowany w późniejszym czasie według projektu Jana Krzysztofa Glaubitza. Są w nim kolumny o nietypowym kształcie wywołującym u nas wrażenie, że obiekt ten jest dużo większy niż jest w rzeczywistości. Ich „wygląd” nie pozwala nam na dokładne obejrzenie pozostałej części kościoła. Wciąż je oglądamy, puszczać mimo uszu słowa przewodnika zachęcającego nas do popatrzenia w inną stronę.



Niemen w Birsztanach. Foto: Krzysztof Tęcza

Jedynym rozsądnym wyjściem było przemieszczenie się do miejscowości Birsztany, gdzie udaliśmy się na długi spacer, by na końcu, po pokonaniu prawie 200 drewnianych schodków wdrapać się na wzgórze, z którego widać było zakole Niemna. Dopiero teraz mogliśmy się przekonać jak wielka jest to rzeka. Na dole wciąż widzieliśmy mniejsze i większe stateczki pasażerskie, ścigacze wodne, łódki i kajaki. Ruch jaki tu panował zupełnie nas zaskoczył. Co ważne, ponieważ rzeka płynęła dużo niżej niż się znajdowaliśmy wcale nie było słychać chałatu silników. Była cisza i spokój. Nic nie zakłócało

naszego pobytu. Aż nie chciało się ruszać. Niestety pora wracać do domu. To już ostatnie miejsce, które odwiedziliśmy podczas naszego tegorocznego wyjazdu na Kresy.

I dopiero teraz możemy zastanowić się czy Mickiewicz miał rację pisząc

Litwo! Ojczyzno moja! Ty jesteś jak zdrowie,
Ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie,
Kto cię stracił. Dziś piękność twą w całej ozdobie
Widzę i opisuję , bo tęsknię po tobie.

Krzysztof Tęcza